

aleje 3

NUMER 70

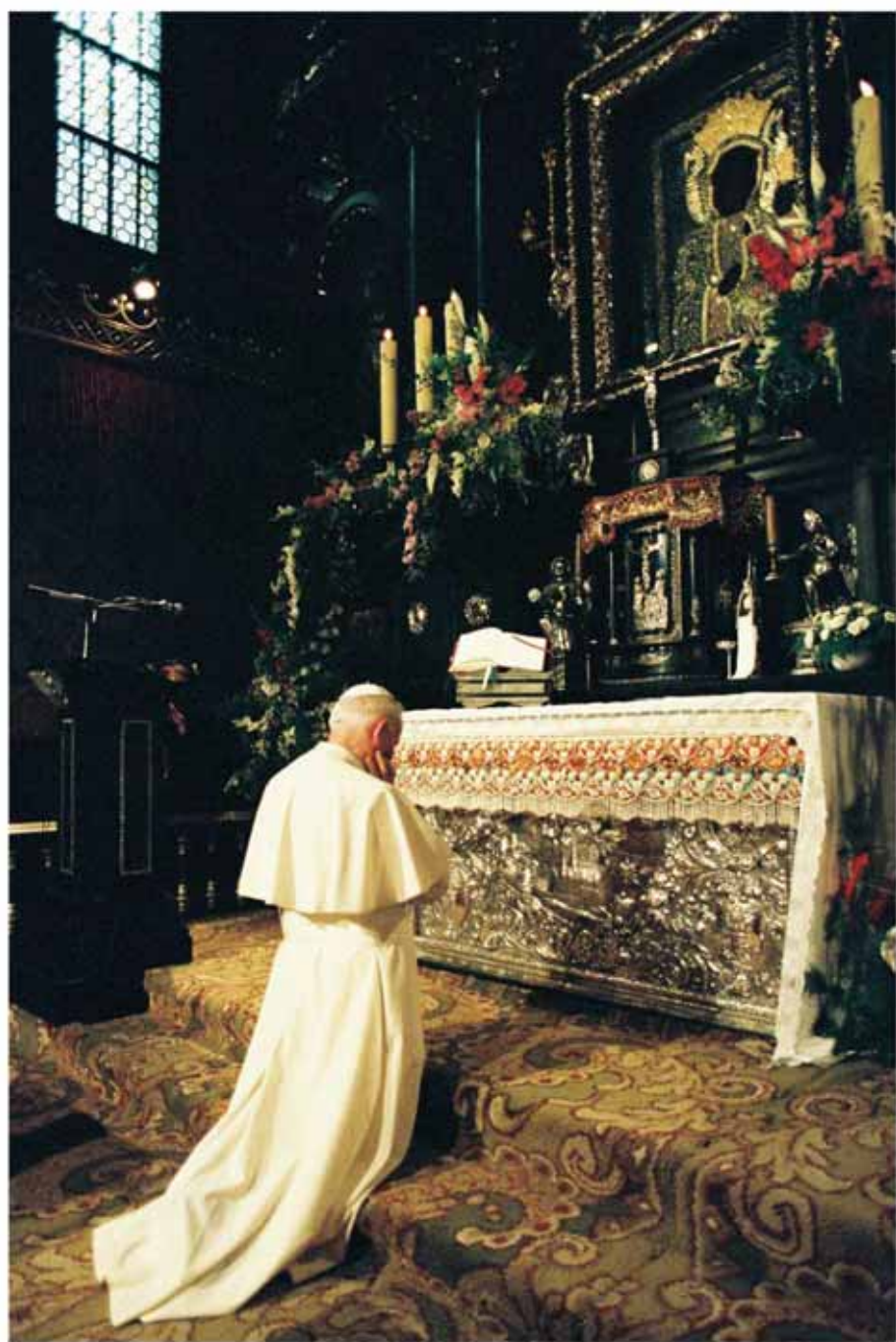
listopad - grudzień 2008

ISSN 1427-8812

CENA 2 zł

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy





aleje 3

Dwumiesięcznik Kulturalny Częstochowy

**Pismo finansowane
przez Urząd Miasta Częstochowy**

Wydawca

Biblioteka Publiczna
im. dr. Wł. Biegańskiego
w Częstochowie
Al. Najświętszej Maryi Panny 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
www.biblioteka.czyst.pl

Redakcja

Aleje NMP 22
42-200 Częstochowa
Tel. 034/ 360-56-28
aleje3@op.pl

Teksty niezamówione nie będą zwracane.
Zastrzegamy sobie możliwość opracowania
i skracania przysyłanych materiałów.

Poglądy Autorów nie zawsze
odzwierciedlają poglądy Redakcji

Red. Naczelny

Marian P. Rawinis
Tel. 0505-666-486
mprawinis@poczta.onet.pl

Skład i łamanie

Krzysztof Klaus

Druk i oprawa:

Sowa - druk na życzenie
www.sowadruk.pl
tel. (0-22) 431-81-40

W XIX wieku Częstochowa leżała bardzo daleko. Dla większości Polaków z Litwy była praktycznie nieosiągalna, bo oddzielona granicami, brakiem zezwoleń na wyjazd, wojskowymi posterunkami. Istniała tylko w głębszej wierze, w narodowej tradycji. I w marzeniach.

Franciszek Malewski, więziony w procesie filomatów, późniejszy wybitny prawnik, postać godna naśladowania a jednocześnie godna wszelkiego współczucia, wielokrotnie próbował pojechać do Polski. Pragnął na własne oczy ujrzeć to, o czym pisał jego współwzięci i serdeczny druh, Adam Mickiewicz – „Pannę Świętą, co Jasnej broni Częstochowy”. Władze carskie, choć szeroko korzystały z usług Malewskiego w pracach nad rozwojem prawa państwowego, nie zezwalały mu na wyjazdy poza Rosję ani dla nauki, ani dla rozrywki. Należał do pokolenia, które w latach młodości odbyło podróże na Zachód, potem zaś przez całe życie skazane było na Rosję. Malewski, prawnik i sportsmen nie omijający okazji popływania nawet w zimnych wodach Newy, podobnie jak wielu jego kolegów ze studiów na Uniwersytecie Wileńskim, całe życie nosił w sobie marzenia o Polsce. Język, kultura, tradycja, wielkość i niepodległość, przekonanie o ważnym znaczeniu kultury polskiej dla kultury świata. Historycy, naukowcy, badacze, żołnierze, odkrywcy, rozrzucony po ogromnym obszarze imperium, pracowali przede wszystkim dla Polski. Bardzo chcieli osobiście zobaczyć ten swój kraj, Wisłę, Kraków oraz oczywiście Częstochowę, bo przecież Matka Boża była dla nich najważniejszym symbolem wszystkiego, co narodowe i polskie, a Jasna Góra symbolem tego, co najświętsze i najcenniejsze. Przez dziesiątki lat hołbili w sobie marzenie ujrzenia Polski i Jasnej Góry, ale tylko nielicznym było dane tam dotrzeć. Franciszkowi Malewskiemu dopiero u schyłku życia, za warunkową zgodą carskich władz, w roku 1858. Jednakże wizyta okazała się niespełnieniem, zachwyty pomieszał się z zawodem i żalem. Malewski, podekscytowany, radosny, pełen oczekiwania, trafił na kazanie pełne ognia piekielnego, zapowiedzi strasznych mąk i nieuchronnej kary. Wyjeżdżał z Częstochowy pełen rozczarowania. Widać zapomniał, że tuż obok miejsca, gdzie bije źródło dobra, mądrości, piękna, wspaniałości, istnieją też zwykle ludzkie słabości i przywary. Marzenie nie przysło, ale zostało nadkruszone.

Czego się spodziewał? Dotknięcia świętości? Osobistego znaku wyłącznie dla siebie? Tylko dlatego, że przyjechał z daleka, po długich i trudnych latach oczekiwania? Chciał marzenie, wiarę, ducha doświadczyć naukowo, technicznie, materialnie? „Panie, modliłem się, tam na gałęzi drzewa siedzi kruk – napisał Saint-Exupéry w Cytaledi. - Jeśli moja modlitwa została wysłuchana, spraw, żeby ten kruk odleciał.” Ale zaraz wycofał się z tej prośby. Bo zrozumiał, że były to znak nie od Boga, a od kogoś równego sobie, zwykłego, nieważnego.

Modląc się o spełnienie marzeń, składając i odbierając życzenia świąteczne, nie wymagajmy, żeby spełniały się nam wszystkie. Niech zostanie nadzieja, marzenie i radość oczekiwania. Bo jak napisał Leopold Staff, szczęście jest często niedokreślone, niedotykalne, ono tkwi „pomiędzy wyciągniętą dłonią a owocem drzew”.

Marian Piotr Rawinis

LUBIĘ KAMERALNOŚĆ Ze Zdzisławem Sowińskim rozmawia Marian P. Rawinis

Kim Ty właściwie jesteś, Zdzisławie Sowiński? Fotografem, fotografikiem, dziennikarzem telewizyjnym, operatorem filmowym? W której roli czujesz się najlepiej, którą uważasz za najważniejszą dla swojego rozwoju?

Kiedyś zacząłem od fotografii, fotografia w jakimś stopniu koresponduje z obrazem filmowym, daje dobry symptom do tego, żeby później lepiej rozumieć te wszystkie mechanizmy, które rządzi obrazem. Fotografia jest zwykle dziedziną bardzo kameralną, właściwie to zawsze jestem sam ze sobą, z aparatem, z obiektem, który fotografuje, mam ogromny wpływ na to, co ostatecznie się urodzi. Natomiast jeżeli chodzi o telewizję, to głównie zajmuję się, jeżeli chodzi o realizację, formami nieco dłuższymi. Powiem szczerze, że w tej roli też się dosyć dobrze czuję, dlatego że jest to jakby rozwinięcie tych obrazków, multiplikacja, ale poszerzona jeszcze o parę innych sfer, czyli: trzeba napisać scenariusz, ktoś musi skomponować czy też się wybiera muzykę, montaż powoduje, że możemy tworzyć niesamowite różne sprawy, bardzo oddziaływać – mam nadzieję, że pozytywnie – na odbiorcę. To wynika także z mojego charakteru, że lubię kameralność, ale są takie okresy w ciągu roku, gdy lubię robić filmy, lubię być z ekipą, lubię jakieś nowe środowiska, które mnie ubogacają wewnątrz, coś odkrywam. Zgłaszam tematy, które oczywiście w telewizji muszą być zaakceptowane, ale nie robię niczego na siłę, a tylko to, co chcę, to, co uważam, że jest wartościowe, że to mnie interesuje, jest to świat, w którym ja żyję, który chcę jakoś pokazać. Dlatego te dwie sfery u mnie się, uważam, bardzo dobrze uzupełniają, bo są dni, tygodnie, miesiące, kiedy szukam tej samotności i aparat mi daje taką możliwość. Przy filmach już tej kameralności nie ma, ale są inne wartości.

Jako filmowiec jesteś postrzegany jako człowiek związany artystycznie z tematyką kościelną, zwłaszcza z Jasną Górą. To jest dalszy ciąg tego, czym się zajmowałeś tam dawniej czyli fotografowaniem...

Już jako chłopiec zafascynowałem się Jasną Górą, to się później przerodziło w taką właściwie miłość do tego miejsca. Już jako chłopiec czułem, że to jest coś pięknego, niesamowitego, i później udało mi się to przełożyć na język obrazów. Poznając historię Jasnej Góry, obserwując pielgrzymów przez wiele lat, miałem możliwość żyć wśród paulinów, uczestniczyłem w ich życiu zewnętrznym. A przede wszystkim ten ruch pątniczy, te niesamowite przeżycia ludzkie, które miałem okazję obserwować, współuczestniczyć. Sam wiele miałem przeżyć, tak że to miejsce wywarło na mnie ogromny wpływ i wywiera do dnia dzisiejszego, i ciągle uważam,

że tego miejsca jeszcze nie odkryłem, to znaczy ja go nigdy nie odkryję i nikt go nie odkryje. To miejsce nigdy mi się nie znudziło. Ile razy tam jestem, to mówię: Jezus, ja jeszcze tego i tego nie zauważyłem!

Przypomnij początki zyciorysu. Urodziłeś się w pobliżu Częstochowy...

Ta miejscowość nazywa się Izbiska. Krótko tam mieszkaliśmy, bo później wyjechaliśmy na Ziemię Zachodnią, w region wałbrzysko-wrocławski. Jako lebek, II klasa szkoły podstawowej pamiętam, fascynowałem się obrazem. Jak to się robi, jak to się dzieje? I taki fotograf był w Dzierżoniowie, to ja potrafiłem tam godzinami stać, przed wystawą. Zdjęcia do dowodów, ze ślubu... Jak tam wejść, zobaczyć, jak on to robi? Kolega miał „druha”, to był najlepszy kolega na świecie, ale ponieważ ani on nie miał pieniędzy na filmy, ani ja, robiliśmy sobie tak na sucho. Pyk! Sam dźwięk migawki to było coś niebywałego. Obraz, obraz, a jeszcze jak spojrzalem pierwszy raz przez obiektyw, to widzę, jaki ten świat kolorowy! I tak już brnąłem, brnąłem, brnąłem w ten obraz. Najpierw mnie interesowało, jak ten obraz w ogóle się tworzy, więc pierwszy pobyt w ciemni, filmy się tak wolało, w teleru... No, po prostu fascynacja obrazem. Później wszystkie inne rzeczy nastąpiły, a więc jakieś tam wymyślanie różnych tematów, różnych okoliczności, gdzie człowiek chciał się wypowiedzieć...

To prawda, że się modliłeś na Jasnej Górze, że ślubie się dostać do szkoły filmowej, a jak się dostałeś, to modliłeś się, dziękując?

Faktycznie, jako człowiek wierzący, czuję od wielu, wielu lat jakby rękę Matki Bożej nad moją osobą. O to poprosiłem, tam zostawiając swoje największe nadzieje, swoje lęki, swoje radości. Jak przyjeźli mnie wreszcie do tej szkoły filmowej, o której marzyłem, okazało się, że ja nie za bardzo mam komu się pochwalić, bo tak mi się życie ułożyło. Pierwsze kroki skierowałem na Jasną Górę, jeszcze ponowiłem prośbę do Matki Bożej, żeby tę opiekę nade mną sprawowała, i podziękowałem Jej. Nie miałem śmiałości wejść do kaplicy, jakis taki paraliż mnie ogarnął, wszedłem tylko do przybudówki, stanąłem po prawej stronie, przy pierwszym filarze, tak się lekko oparłem o ten filar... To było przedziwne uczucie, bo z jednej strony radość, a z drugiej taki smutek, taka mieszanina przedziwna się wytworzyła. Co będzie dalej? Takie niesamowite wyznaczenie, taka wielka niepewność wszystkiego. Wiem o tym, jestem przekonany, że mimo grzesznej duszy, bo człowiek nie jest wolny od wad różnego typu, jednak ta opieka, jakieś takie czuwanie Madonny Jasnogórskiej jest tutaj niegodnemu dane.

To miejsce ma cudowną moc. Opowiedz, jak Ciebie wessala Jasna Góra.

Zaczęło się to, jak byłem dzieciakiem, kiedy fotografia mnie zafascynowała, ale nie miałem niczego i na nic nie było mnie stać. „Druh” to było marzenie. Ojciec

Jan Golonka zajmował się fotografią na Jasnej Górze, miał tam jakiś sprzęt, i ja odważyłem się zapytać, czy on by mi pożyczył tego sprzętu. No i on mi pożyczył. Poznałem się z Janem i jakiś utrzymywaliśmy ze sobą kontakt. Będąc potem na studiach przyjeżdżałem wielokrotnie, żeby sobie pofotografować, ułatwiono mi działania. Za jakiś czas zresztą, nie w tym pierwszym momencie, zapisałem się do Młodzieżowego Domu Kultury. Był tam śp. profesor Jan Bernatek, postać zupełnie niezwykła, jeżeli chodzi o opiekę nad młodzieżą, i on mnie tam jeszcze dodatkowo tą fotografią zaraził. Oczywiście w Domu Kultury był sprzęt, było laboratorium, była ciemnia itd. a ja chciałem tam siedzieć dniami i nocami, co było niemożliwe, ale zdarzało się, że do północy. Byłem niepełnoletni, więc on mnie odprowadzał do domu. To był bardzo oddany człowiek młodzieży, fizyk z wykształcenia, to jest dłuższa opowieść, wyciągał różnych takich biedaków z ulicy, pomagał im, żeby nie popadli w jakieś skrajności ubóstwa duchowego. Z Jasną Górą podtrzymywałem kontakt i tak się złożyło, że później z Janem wymyśliliśmy, właściwie to była jego inicjatywa, żeby zorganizować jasnogórski plener malarski. To był stan wojenny, bardzo trudno to wszystko było okiełznać, ale ponieważ ja to środowisko tak troszeczkę znam, różnych malarzy z różnych miast, więc sporządziliśmy listę, wysłaliśmy zaproszenia a ja byłem tym, który pomagał Janowi w sprawach organizacyjnych i jednocześnie dokumentowałem ten cały pobyt. Później były kolejne prośby: a zrób jeszcze to, a zrób tamto, zdokumentuj tu a tu... Ja oczywiście nie odmawiałem, ale było to bardzo trudne do pogodzenia, ponieważ już byłem po studiach, filmy robiłem, i w fabule, i w dokumencie, i w oświacie, więc musiałem to jakoś godzić. Później pokój dostałem, wikt i opierunek, pełne zaufanie i zadanie dokumentowania pielgrzymek. Dzisiaj to jest bajka, bo cyfrówka, tego, śmego, a wtedy ja cały dzień fotografowałem, a w nocy to wszystko wyrabiałem własnoręcznie. To trzeba było samemu wywołać, samemu powiększyć, tego było dużo, więc trzeba na bieżąco robić, żeby się nie pogubić. To była orka, to nie był taki komfort, jak dzisiaj. Pamiętam, jak było potrzeba slajdów, to czy robiłem na fuji czy na kodaku, to nigdzie w Polsce tego wywołać nie można było! Ojciec Konstancjusz Kunz przywoził mi z Niemiec całe zestawy chemii, ja to sam obrabiałem, to były trudne procesy, te wysokie temperatury, mała tolerancja w niektórych przedziałach, urobiłem się niesamowicie, płaszcze wodne, no cuda-niewidy! I to wszystko robiło się samemu, człowiek padał. Padał, ale jakoś następne-godnia szło, szło i szło...

Pamiętasz, kiedy pierwszy raz fotografowałeś Cudowny Obraz z bliska?

Tak dokładnie nie powiem, to był rok prawdopodobnie 1982. Wejście do pomieszczenia, w którym ten Obraz jest, to przedziwne uczucie, bo największa świętość dla Polaków, relikwia, i tutaj nagle mogę wejść, mogę zobaczyć, mogę w tym uczestniczyć, mogę fotografować. Chciałem zrobić krótki film dokumentalny o kon-



serwacji obrazu Matki Bożej, tak, jak to się odbywa. No i ojciec Melchior, jako opiekun, zgodził się, oczywiście musiał generalnie, przeor też to zaakceptować. Mówi: dobrze, ale tylko pan może być, nikt więcej, żaden operator, pan sam zrobi. No, oczywiście operatorka nie jest mi obca, więc nie mogłem dyskutować, albo zrobić, albo nie. A jest tak, jak jest Obraz zdjęty, to tam bardzo określone osoby tylko mogą wchodzić. Przedziwna sprawa się wydarzyła. Konserwatorzy, ojcowie muszą też posiłek zjeść, poszli na kolację. I dwaj bracia, którzy przez cały czas pełnili straż przy Obrazie, też wyszli. Nie wiem, dlaczego. Zostałem sam na sam Obrazem... Oni wracają z kolacji, a ojciec Melchior mówi: „To pan jeszcze nie skończył?” Ja robiłem ostatnie ujęcie. Oczywiście to było na zasadzie takiej statystycznej, jak najwięcej ujęć, różne panoramy itd., żeby mieć tego materiału jak najwięcej. Oni wyszli, mimo, że byli za to odpowiedzialni! Przez 30 minut byłem sam na sam z Obrazem... Ja sobie tak to po ludzku tłumaczę, że prawdopodobnie Matka Boska powiedziała: „Wydźta, chopy, nie przeszkadzajcie mi”. Oczywiście, później fotografowałem wielokrotnie, jak to się tam odbywa.

I przyszedł ten nieszczęsny dzień lipcowy 1990 roku. Pożar Jasnej Góry...

Ja do dzisiaj w to nie wierzę. Ciągłe mi się wydaje, że się obudzę i tego nie było. W dniu przed tą nocą byłem w Warszawie, po czym pojechałem do Łodzi, bo tam mieszkalem wówczas. I słyszę w radu, że na Jasnej Górze pożar i pali się Stary Świat – to jest taka część zabudowań, najstarsza część klasztoru. Oniemiałem, potem się oblałem. Akurat tam miałem wszystkie swoje sprawy, filmy, tam miałem ten swój pokój, całe archiwum itd. Jak najszybciej chciałem przyjechać na Jasną Górę i w duchu liczyłem na to, że ten komunikat jest bardzo ogólny, że to może pali się jakiś kawałek, może część... Rzeczywistość była inna. Powiem dzisiaj tak: gdybym był wtedy na Jasnej Górze, prawdopodobnie bym pewne rzeczy uratował. Gdyby była jakakolwiek szansa, maska z butlą tlenową, to prawdopodobnie. Niestety, nie było mnie, i mnóstwo materiałów, taka duża wystawa miała powstać, gros materiałów spłonęła.

Jaka część Twojej pracy została stracona w tym pożarze?

Jakieś 90 procent. Troszkę ocalało, ta część, która akurat była w innym miejscu. To była dla mnie wielka próba, jako człowieka, bo to można się załamać kompletnie, i jak niektórzy mówią, wiarę stracić, bo cały czas czulem i czuję zresztą do dzisiaj tę Opatrzność – i tu nagle dostaję w czapę. Gościu, ta cała twoja służba na moim dworze królewskim właściwie się zamienia w popiół. Ty chcesz chwalić moje imię, ty chcesz ludziom przybliżyć ich przeżycia w moim miejscu – i co? Ale jakoś mi się udało ten zły stan ducha pokonać. To przeciwieństwo Matka Boska sobie tak uknuła, to zaniebanie ludzkie. Chciałbym, żeby to był sen. Miałem tam cały dobytek osobisty, w tym ubrania, ponieważ głównie tu

mieszkalem, i to wszystko też spłonęło, ale to jest małe piwo, bo to można kupić...

Wtedy formalnie mieszkales w Łodzi?

Tak. Ponieważ moje zaangażowanie w sprawy Jasnej Góry poszło tak daleko, że właściwie ja już chwilami nie wiedziałem, jak się nazywam. Robilem filmy i gdzieś tam wybywałem, były ambicje, szukałem jakby swojego miejsca. Padła propozycja pracy w telewizji. I to był ten moment decydujący, i ja powiedziałem „tak”. Właściwie, Matko Boska i czcigodni, kochani ojcowie paulini, właściwie to ja już się wyczerpałem – tak sobie myślałem. Niech już ktoś inny to robi, bo już tam rodzina troszkę narzekała, więc mówię – to już wróć do tej Łodzi, ja już tu chyba swoje zrobiłem, niech teraz się inni troszczą.

Czyli propozycja telewizyjna, w tym samym 1990 roku, padła w dobrym dla Ciebie momencie.

Musiałem podjąć decyzję. Ponieważ było to nowe wyzwanie, obiecujące, aczkolwiek zawsze uciekałem od telewizji jak od ognia, mimo, że wykształcenie moje jest również telewizyjne, ponieważ studia były filmowo-telewizyjne, więc całą tę praktykę telewizyjną miałem za sobą, ale nigdy nie chciałem zostać w telewizji, ponieważ widziałem, co się tam dzieje, jak jest to mocno polityczna instytucja, i że właściwie człowiek nie ma nic do powiedzenia. A te rzeczy, które mnie interesują, w ogóle tam nie istnieją. To wszystko to jest przedłużenie Komitetu Centralnego, Komitetów Wojewódzkich itd. Ale ponieważ przyszedł nowy oddech, nowy wiatr historii, jak to mówią, powiał, to wyczułem z rozmów, że jest pewna nadzieja i pewna szansa. Nie były łatwe te pierwsze chwile, ponieważ środowisko telewizyjne w Katowicach, które bardzo wysoko sobie cenię, część ludzi nieufnie do mnie podchodziła. Ludzie są troszkę podejrzliwi czy nie zawsze ufni, może to jest jakiś tam naślany, bo zmiana władzy itd. A mnie to nigdy nie interesowało, chciałem coś po prostu dobrego zrobić, jeżeli by się dało. Ale z biegiem czasu jakoś to się wszystko poukładało, ludzie nabrali przekonania, że ja tu nie jestem żadnym naślancem diabła, tylko normalnie coś tam warto wspólnie dobrego zrobić. W tamtej chwili to było pewnego rodzaju też ryzyko. Kończąc z moją łataniną filmową po Polsce i koncentrując się tylko na Częstochowie. Zrobiłem taką próbę: dobra, telewizja, aczkolwiek nie chciałem etatu na początku, ileś miesięcy się bujałem, żeby się przyjrzeć temu. Kiedy się zdecydowałem, to było już bardzo ciężko, ponieważ ten sposób było pogodzić obowiązki w telewizji, a to było tworzenie zespołu, w ogóle dużo ważnych spraw, i Jasna Góra. Już czulem, że z czegoś muszę przynajmniej w takim wymiarze zrezygnować. Powiedziałem, no trudno, jak się zdecydowałem na telewizję, to muszę być konsekwentny, zajmując się głównie telewizją, oczywiście nie odhodząc od Jasnej Góry. I ta myśl, że od tej chwili będę ewentualnie służył temu miejscu, czyli odbiorcy, poprzez realizację filmowe. Dlatego najwięcej

pozycji zrobiłem filmowych związanych w tym miejscu. „Początek drogi” o nowicjacie paulińskim w Leśniewie. To jest jakby początek drogi tych ludzi, których później część przychodzi na Jasną Górę. „Tajemnice Jasnogórskiego Wizerunku” – wiele lat na to czekałem, udało się, czyli o obrazie Matki Bożej w aspekcie głównie opieki nad Obrazem, ale i jakiś taki bardziej wątek historyczny. Potem „Jasnogórska wiktoria” – była rocznica, a okazało się, że nikt jeszcze nie robił jakby całostkowo o tym miejscu. Było jeszcze szereg innych pomniejszych filmów. Ja nie robię bardzo dużo, ale zwykle się dobrze do tego przygotowuję. Leśniów np. musiałem robić prawie rok.

Masz jeszcze obowiązki o charakterze redaktorskim, organizacyjnym... Ale opowiedz o swoim udziale we wcześniejszych realizacjach filmowych, z kim i dla kogo pracowałeś przy fabule i przy dokumentach.

Najwcześniejszy mój udział w realizacji, to było z panem Jerzym Passendorferem, jeszcze na studiach, bo ja wcześniej zacząłem już uczestniczyć w filmach. To był taki moment politycznych tarć, więc akurat to był taki film, który gloryfikował rzeczy związane z Gwardią Ludową, z Armią Ludową...

„Akcja Brutus.” To był film o akcji UB na zbrojne podziemie. Co przy nim robiłeś, zdjęcia?

Wtedy jeszcze byłem studentem. Pracowałem na długiej kamerze i robiłem fotosy. Była plejada fajnych aktorów, m.in. Hibner, Krzyżewska, wspaniała aktorka. Taki był początek, natomiast później pracowałem przy „Seksmisji”.

W filmie Machulskiego robiłeś między innymi zdjęcia trikowe.

Tak, to były, o dziwo, pierwsze zdjęcia tego typu w Polsce. Metodą bardzo chałupniczą robione, siedziałem w Instytucie Fizyki Jądrowej w Warszawie. To było takie zadanie, na początku nie za bardzo się widziałem w tej roli, szczerze mówiąc, bo to jeszcze nikt tego nie robił... Ale ponieważ z operatorem Jurkiem Łukaszewiczem dobrze się znaliśmy już wcześniej i on miał taką prośbę... Rzeczywiście to była mozolna praca, nawet w początkach tam były pewne rzeczy, które nie wychodziły, metodą prób i błędów, ale wyszło dobrze. Później pomagałem oczywiście też na planie filmowym, na drugiej kamerze. Rzeczywiście to ogromna produkcja, więc widziało się przeróżne rozwiązania, jak to wszystko wygląda. Później „Przyjaciel wesołego diabła” zrobiłem z Jurkiem Łukaszewiczem, robiłem też z reżyserem panem Ryszardem Rydzewskim, taką fabułę godzinną pt. „Wiosenny spacer”. Później zrobiłem samodzielną pozycję o Pustyni Błędowskiej, wyszedł taki film przyrodniczo-polityczny, ponieważ niestety, ten skrawek ziemi ciekawy człowiek niszczył przez swoje złe decyzje, i szereg jeszcze było takich filmów, głównie dla wypożyczalni filmów oświatowych, ponieważ lubiłem



te kameralne. Fabuła to jednak strasznie dużo ludzi, już nie chcę opowiadać, jakie za tamtych czasów hece były, szkoda gadać, już dzisiaj troszkę kapkę to inaczej wygląda. Lgnąłem do kameralności.

Matka Boża najwyraźniej ma do Sowińskiego sentyment. Zrobiliś film o Świętej Lipce.

Pamiętam, tośmy miesiąc robili ten film. Mieszkaliśmy wtedy w Świętej Lipce, ja np. potrafiłem wcześniej rano wstać, szedłem do kościoła, żeby ujęcia obmyślać. To rzeczywiście szok niesamowity, bo tu parę chałup i wspaniały barok wschodni, który powala na kolana. Ksiądz proboszcz, tam jezucici to prowadzą, zrobili nam premierę jak wesele: dwie świnię zabili, wino się lało itd., ogromna uroczystość. Chyba to był gdzieś 1976, 77 rok, wtedy tematy kościelne ciężko przechodziły. Na ścianach w kościele są udokumentowane uzdrowienia i łaski, których tam ludzie doznali, i myśmy ten wątek wprowadzili do filmu. Odbyła się kolaudacja, najpierw taka wewnętrzna: dyrektor, redaktorzy różni, aniołowie stróżę...

No więc mówią: „No fajnie, zabytek, wszystko jest fajnie, ale po co te cuda?” Żeby może to jednak wyciąć to, owo... A ja sobie przyrzekłem, że będę bronił tego do upadłego, i użyłem takiego przykładu, tutaj mi Hoffman pomógł „Potopem”, i mówię tak: „Tak tam to przeskadza, ale to jest jedna z istotniejszych spraw związanych ze Świętą Lipką, to nie tylko mury, to są ludzie, są przeżycia”. I mówię: „No przecież zobaczcie: w „Potopie” odsłaniają obraz Matki Bożej, najbardziej zakazany obiekt w Polsce, i co się złego stało?” Cisza. Milczą, milczą, milczą, dłużej o tym mówiłem itd. W końcu mówią: „No dobrze, no to niech zostanie, zobaczymy, co komisja z Warszawy na ten temat powie”. Bo kolaudacja była dwuetapowa. Na drugi dzień przyjeżdżają dwie panie, i mówią: „Fajnie! Podoba nam się!” Żadnych uwag nie było do tego wątku łask i cudów. I to się spełniło, że chcemy nieraz być świętsi od papieża. Nawet w tamtych czasach, jeżeli to były osoby, które teby dostrzegały pewne wartości, jeżeli to nie było zbyt nachalne, jeżeli to wszystko ładnie ze sobą korespondowało, to ci ludzie też to po cichu zauważali. Wtedy powiedziałem, że będę zawsze walczył, przegram, nie przegram, nieważne, ale będę walczył o to, gdzie pracę włożyłem, nie będę się łatwo poddawał. Dzisiaj tak się to łatwo opowiada, ale wtedy to się wiązało z tym, że nie zapłacą, że nie dadzą robić następnego filmu, że nie dadzą sprzętu, że będą wszystko robić, żeby utrudnić. Więc to było pewnego rodzaju ryzyko, ale ja takie ryzyko podjąłem i powiedziałem: no trudno, to będę robił fotografie, będę czekał na lepszy moment, będę robił cokolwiek, ale nie poddam się.

Wróćmy do czasów Twoich studiów. Pokazałeś się światu jako ten, który w bardzo nowatorskiej formie fotograficznej przedstawił Władysława Strzemińskiego.

30 czerwca 1974 skończyłem studia, a pierwszego lipca już zacząłem pracować. Na studiach mieliśmy

taki przedmiot, który się nazywał historia sztuki. Od Altamiry, jak to się mówi, po czasy współczesne. Między innymi, jeżeli chodzi o sztukę XX wieku, to tam zaistniał Władysław Strzemiński. Ja należałem do takiej grupy Warsztat Formy Filmowej, to taka awangardowa grupa, do której należał m.in. Zbyszek Rybczyński ten, co Oscara dostał za „Tango”. To była taka grupa, która próbowała przełamywać pewne kanony, jeśli chodzi o sztukę filmową, fotograficzną. Myśmy pewne akcje przeprowadzali w Muzeum Sztuki, dyrektor nas tam z chęcią puszczał. Pod koniec moich studiów poprosił mnie o rozmowę i mówi: Panie Zdzisławie, wie pan, my mamy tu taką pracownię dokumentacji fotograficznej... Ja myślę: co on mi tu proponuje, cholera, zgodził się, jakieś filmy, a on mi... Ale z drugiej strony myślę: faktycznie, to trochę tak może i łaska boska, bo tak: od razu mi daje etat po studiach, a do filmu trzeba się wgrzać, ile to trwa. I myślę: to z rok się pobujam w tej pracy. Ale mówię: panie dyrektorze, tu jest system od 8 do 16; czy ja mogę nie podpisywać listy, przychodzić kiedy chcę, a z pełną odpowiedzialnością, że to, co mam zrobić, to zrobię? Zgodził się, przydzielili mi dwie panie pomocy. W Muzeum Sztuki jest bardzo fajna biblioteka i prawie wszystkie dzieła Władysława Strzemińskiego, więc poszedłem do biblioteki, ten okres sobie tam przeanalizowałem, czytałem różne rzeczy. Okazało się, że Strzemiński jest licho zdokumentowany, mimo, że w tym muzeum jest. Mówię: Bardzo proszę, przynieście mi całego Strzemińskiego do pracowni, no to mi wszystko przynieśli. Ja się rozkoszowałem, bo nagle mam pełną pracownię jego obrazów. No więc fotografowałem, dokładnie jego życiorys przestudiowałem, była to osoba bardzo kontrowersyjna, ale ujął mnie tym, że nie miał ręki i nogi, mieszkał w Koluszkach, dojeżdżał jako wykładowca do szkoły plastycznej, a ten nurt w sztuce, który lansował, nie był mile widziany. Jego „Teorię widzenia” też przestudiowałem, tam pewne sprzeczności wylapałem, ale i pewną konsekwencję, i doceniłem taką analizę w ogóle, jak to historia sztuki się zmieniła, dlaczego, itd., itd. Teraz, jak tutaj o tym człowieku opowiedzieć? Wpadłem na taki dziki pomysł: jednorodność formy i treści. Zacząłem kojarzyć to z pewnymi przedmiotami. Pierwszą rzecz, jaką zestawilem, to tara, taka do prania. Pewne obrazy nawet w formie przypominają takie falowanie. Ale myślę: kurde, chłopie, czyś ty zwariował, to przecież świętość w Łodzi?! Jeszcze jego uczniowie żyli itd. Przetępiałem te różne książki, patrzył, tu jego są zdjęcia: takie, owakie, śmakie. Trochę tych fotografii jest. No to, myślę, ja będę nosił na te przedmioty jego twarz. I siedziałem nocami, wszystko na terenie muzeum robiłem, bo w domu to dużo miejsca zajmowało, pojechałem do Warszawy, do „Fotonu”, dali mi emulsji, nauczyli mnie, jak tam to wszystko ze sobą mieszać... No i z lekkim trochę myślę, co o tym ludzie powiedzą, jak to światło ujrzy dziennie. Odwiedził mnie Zbyszek Rybczyński pewnego dnia, też strasznie go to zaskoczyło, ale bardzo pozytywne.

To był tytan pracy, ja przy końcówce „Tanga” byłem przy tych zdjęciach, to jest inna sprawa - była taka propozycja, żebyśmy dalej współpracowali, ale on wyjechał i to się wszystko rozeszło...

Twoja wystawa autorska była głośna...

Było uroczyste otwarcie, miałem przeżycia niesamowite, ponieważ wiedziałem, że przyjdą m.in. uczniowie Strzeмиńskiego, dla których to patron, autorytet i broń Panie Boże, żeby coś. Zaraz zobaczą, że ja twarz Strzeмиńskiego na jakieś tary... Myślę: jak oni mnie tutaj teraz dobokują, to leżę, to się nie wybronię. Ale o dziwo, przyjęli to bardzo dobrze. Naprawdę się wtedy strasznie bałem. I od tego momentu już nabrałem takiej pewności siebie, to jest potrzebne do dalszych działań.

Z pracami o Strzeмиńskim startowałeś do Związku Fotografików...

Mój rok w Muzeum Sztuki przerodził się w wiele lat, dyrektor był konsekwentny i faktycznie dawał mi swobodę. A do Związku Fotografików zacząłem startować w 1978 roku, to było marzenie wielu, ciężko tam przyjmowali. Na egzamin do ZPAF do Warszawy przyjechałem z dwoma rzeczami: Strzeмиński i Wyszyński. Strzeмиński i portrety Wyszyńskiego, co na Jasnej Górze zrobiłem. I to był taki szok, że to do nich przemówiło.

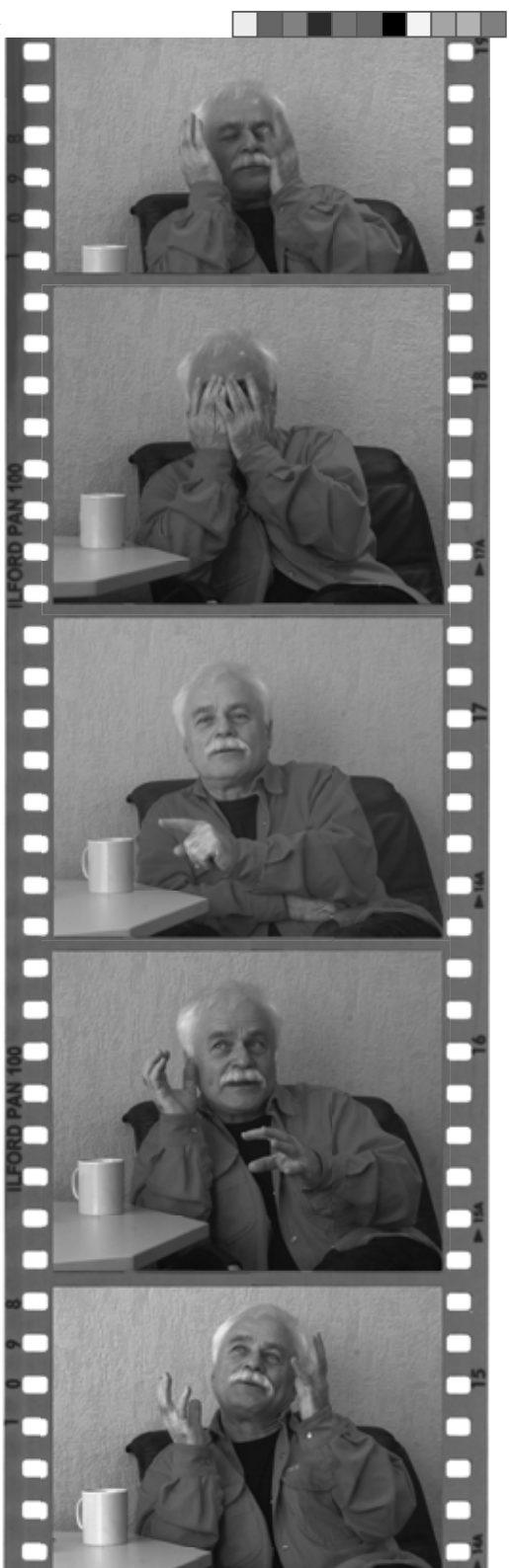
Kardynał Wyszyński?

Tak. W szkole filmowej była w pewnym momencie taka moda na fotografowanie gołych pańienek, czyli akty. Jak się weszło, to ciągle tam za kotarą jakaś babka leżała. Ja też mogłem, ale czułem, że to jest dla mnie za trudne, ja się do tego nie nadaję. Tak, i wyobraźcie sobie, że jest egzamin, to był trzeci rok studiów, a zawsze te fotografie, to było w atelier, każdy rzucał na podłogę, tam mieliśmy swoje miejsca. Każdy po kolei, a ja tak nieśmiało buch tego Wyszyńskiego na podłogę! I tu gołe baby z tym Wyszyńskim! Kompletnie odbiegam od mody, nertu, czegoś tam. Oni - wycipowane zdjęcia gołych babek, a ja - jakiś tam Wyszyński. Przychodzi Robakowski i śp. Nartowski. Kontrast był tak olbrzymi, że w ogóle na te babki prawie nie zwracali uwagi. Nartowski się rozczulił: „Wie pan, bo moja ciocia to leczyła zęby Wyszyńskiemu, jak był internowany” - a on był pierwszym sekretarzem POP - i Robakowski, który był w tym nurcie takim bardzo nowym, oklejał krzesła fotografiami, powiedział: „To jest super”. Okazało się, że być sobą warto, ryzykować, nawet na śmieszności się nieraz może narażać, bo człowiek jest w jakimś środowisku, to czasem się podporządkowuje. No ale powiedziałem sobie: nie zawsze trzeba się podporządkowywać, będę robił to, co mi się podoba!

Dziękuję za rozmowę

Marian P. Rawinis

Fot. Leszek Pilichowski



PLASTYKA

Wspomnienie o rzeźbiarzu Szymonie Wypychu **Opowiadam się za ekspresją ciszy**

Szymon Wypych, znakomity artysta rzeźbiarz, człowiek integrujący częstochowskie środowisko twórców, zmarł 29 sierpnia 2008 r.

Był moim starszym kolegą, od którego nauczyłem się dystansu do różnego rodzaju przeciwności losu. Mówiono o nim „Saimon” czyli święty. Był faktycznie bardzo wyciszoną, zrównoważoną osobą a zarazem znaczącą osobowością twórczą. Człowiekiem – instytucją, prowadzącym przez wiele lat otwartą pracownię rzeźbiarską przy ulicy Kwiatkowskiego. Prawie co tydzień odbywały się u niego w mieszkaniu spotkania, tzw. Szymonowe wtorki, na których spotykali się nie tylko rzeźbiarze, ale również literaci, malarze i ludzie kultury. Tych spotkań było bardzo wiele, niestety byłem tylko na niektórych.

Pamiętam, że Szymon był znakomitym gospodarzem. Potrafił otworzyć każdego swoim naturalnym ciepłem i nietuzinkową osobowością, rozmową opartą o dobrą, profesjonalną radę. Miał swoiste poczucie humoru, takt i naturalną delikatność. Dysponował olbrzymią, różnorodną wiedzą z różnych dziedzin sztuki. Był bez wątplenia artystą uduchowionym,



Fot. Leszek Piłchowski



Fragm. Drogi Krzyżowej na Przeprósnej Górze

Fot. Leszek Piłchowski

szanującym ludzi i ich myślenie w sztuce. Miał duży mir w środowisku, autorytet i dar zbliżania innych do siebie, pomagania w różnych sprawach.

Miałem możliwość współpracy z nim w realizacji jego retrospektywnej wystawy w Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie, w grudniu 1996 roku. O swojej twórczości Szymon wypowiadał się w nielicznych sytuacjach, warto więc przytoczyć fragmenty jego autorskiego tekstu zamieszczonego w katalogu do wspomnianej wystawy.

„Odbiorcy mojej twórczości chciałbym przekazywać zawsze taką sztukę, która swym niezachwianym spokojem będzie utożsamiana ze mną, z moją osobowością, bez względu na obowiązujące czy modne kierunki. Prace moje wywodzą się z realizmu, który staram się nasycić wyobraźnią, wrażliwością, intelektem i indywidualnie pojętą estetyką. Rozległe zainteresowania tematyczne wynikają z profesjonalnego traktowania zawodu rzeźbiarza (konkursy, zamówienia). Jednak najczęściej są to okolice bliskie człowieka lub dotyczącego jego samego. Dominują kompozycje postaciowe oraz fauna i w niewielkim stopniu flora. Dużo miejsca poświęciłem tematom związanym z edukacją, gdyż tą dziedziną zajmuję się równoległe z twórczością”.

Dalej artysta zwraca uwagę na swój indywidualny i duchowy warsztat, formułując takie przesłanie:

„Lubię tak kształtować formę przestrzenną, aby wyrażała nastrój skupienia, intymności, zadumy, często odzwierciedlam w ten sposób stany własnego ducha. Człowiek chętnie ulega nastrojom i ta cecha ludzkiej słabości inspirowała mnie najbardziej. Kompozycje moje są ascetyczne, w formie sprowadzone do syntezy zamysłu, uogólnione do niezbędnych szczegółów. Chętnie wykorzystuję układy rytmiczne oraz kontrasty i niewielkie deformacje w celu pełniejszego wyrażenia tematu i uzyskania spistości formy. Ekspresja w sztuce często utożsamiana jest z agresją, hałaśliwym zgielkiem, potęgowaną dynamiką ruchu. W swojej twórczości świadomie odrzucam ten rodzaj ekspresji jako coś powierzchownego, obliczonego na jednorazowy efekt. Ciekawszy jest dla mnie, bo bardziej tajemniczy, pejzaż przed burzą niż w czasie burzy. Opowiadam się za ekspresją ciszy...”

W tej przejrzystej, syntetycznej wypowiedzi Artysta zwraca uwagę na istotne cechy, dominanty, źródła inspiracji swojej rzeźbiarskiej twórczości, tematy czy wybory artystyczne prowadzące go do bardzo osobistego, osobnego piękna formy rzeźbiarskiej.

Szymon Wypych ma w swoim dorobku, oprócz bogatej reprezentacji dzieł rzeźby kameralnej, istotną w swoim wyrazie i oddziaływaniu rzeźbę pomnikową, nagrobną, płaskorzeźbę sakralną i portretową; realizował medale i rzeźbę ogrodową, w której przez wiele lat się wypowiadał i specjalizował.

Głównym twórcywem jego dzieł była ceramika, której tajniki wypalania, jak i całościowego procesu przemiany gliny w szlachetną materiałną tkanę rzeźby znał doskonale. Wielu nauczył tego procesu. Treści egzystencjalne w połączeniu z pewną poetyckością, liryczną nostalgią wyrazu formy rzeźbiarskiej, również zawartej w kolorystyce szkliwa, są zasadniczą rozpoznawalną cechą większości autorskich realizacji Szymona. Sztuka była dla Niego posłannictwem, ale i sposobem na życie.

W powszechnej pamięci pozostanie zapewne przede wszystkim jako twórca bezprecedensowej realizacji Drogi Krzyżowej przy Sanktuarium św. o. Pio na Przeprosnej Górze, które to miejsce jest ostatnią stacją postojową dla Pielgrzymki Warszawskiej udającej się na Jasną Górę na uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Marian Panek



Fot. Leszek Plichowski

Szymon Wypych, Jerzy Kędziora - Pomnik Papieża Jana Pawła II (katedra częstochowska)

Truchcikiem po galeriach

W Miejskiej Galerii Sztuki w Częstochowie - z okazji trzydziestolecia kierunku Wychowanie Plastyczne (obecnie edukacja artystyczna w zakresie sztuk plastycznych) w Instytucie Plastyki Akademii im. Jana Długosza - od 25 października do 16 listopada trwała interesująca wystawa, obrazująca dorobek trzech kierunków nauczania tegoż Instytutu. Dorobek różnorodny, o zróżnicowanym poziomie i zakresie. Przede wszystkim zaprezentowano „produkt dydaktyczny” ostatnich pięciu lat Edukacji artystycznej oraz, w ograniczonym wyborze, dwu nowopowstałych kierunków: Malarstwa oraz Grafiki warsztatowej. Pokazano łącznie 413 prac studentów i porowadzących z nimi zajęcia nauczycieli akademickich. Były to prace z różnych dziedzin twórczości, w różnych technikach. Począwszy od malarstwa, rzeźby, grafiki, rysunku, plakatu, fotografii, wydruków komputerowych, plansz projektowych, ceramiki, instalacji, skończywszy na multimedialnych: malarstwa, performance i grafiki. Jak wspomniałem, Instytut Plastyki powstał na bazie pierwotnego kierunku Wychowanie Plastyczne, a przede wszystkim

zakładów: Malarstwa i Rysunku, Grafiki oraz Rzeźby, jak i dzięki potencjałowi naukowemu pierwszych wykładowców i organizatorów, dziś już profesorów: Andrzeja Niekrasza, Jerzego Szutki, Leona Macieja, Wincentego Maszkowskiego, Tadeusza Wenzla i nieżyjących już Zdzisława Cierniaka i Stanisława Łyszczarza. Wszystkich nie sposób wymienić. Obecnie w Instytucie prowadzą zajęcia trzej profesorowie „belwederscy”: Ewa Zawadzka, Grzegorz Banaszkiwicz oraz nowo mianowany przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, Werner Lubos - a także wielu innych samodzielnych pracowników naukowych. Napawa to wielkim optymizmem, gdy myślimy o ciągle rosnącym znaczeniu Instytutu Plastyki w strukturach uczelni oraz jego rozwoju w kontekście możliwego otrzymania prawa doktoryzowania od Centralnej Komisji do spraw stopni i tytułów naukowych.

Sama wystawa, której kuratorem była prof. Krystyna Szwajkowska, a aranżował ją prof. Andrzej Desperak – interesująca, o efektywnym wyrazie przestrzeni, niestety z zachwianymi proporcjami ilościowymi, jeśli chodzi o reprezentacje poszczególnych dziedzin sztuki. Aranżer „przesolił” ekspozycję, nadużywając prezentacji różnego rodzaju wydruków studenckich z zakresu grafiki warsztatowej, zwłaszcza użytkowej, spychając studenckie malarstwo i rysunek, zresztą bardzo dobre, na boczny tor. Zapomniał o prezentacji malarstwa architektonicznego, o technikach malarskich, plenerowych warsztatach artystycznych,



Fot. Leszek Piłchowski



Fot. Leszek Piłichowski

osiągnięciach studenckich dotyczących modelu czy rezultatach projektowych pracowni uzupełniającej z zakresu scenografii teatralnej. Wielka szkoda, bo nie tylko estetyka aranżacji, klarowność przestrzeni ekspozycji rozegrana na różnych kierunkach, decyduje o jakości i wadze wystawy, lecz istotna jest jej dydaktyczna prawda związana z całościowym, wielowarstwowym i wielowarstwowym kształceniem studentów w Instytucie Plastyki. Mimo tych znaczących braków, trzeba uznać, że dorobek instytutowy, artystyczny oraz naukowy jest olbrzymi i o wyjątkowym charakterze. Niestety, nie tylko dorobek ale również jego przyszłość i rozwój leżą w granicach bazy lokalowej, jak i jej wyposażenia. Instytutowi bez wątpienia potrzebna jest własna stała przestrzeń galerijna z prawdziwego zdarzenia. Taką posiadają prawie wszystkie inne Instytuty Plastyki czy Wydziały Artystyczne na pozostałych uczelniach w kraju.

Warto również proponować innym instytutom plastyki wymianę takich istotnych wystaw. Bo wartości trzeba wymieniać. Szkoda, że nie odbyło się sympozjum czy konferencja naukowa sumująca osiągnięcia naszego Instytutu. Wykładów, dyskusji czy prezentacji własnych przemyśleń w sferze kształcenia artystycznego jest ciągle mało. Ta wystawa o bez wątpienia szczególnej randze, przygotowana dużym wysiłkiem wszystkich pracowników, jest i pozostanie historyczną.



Fot. Leszek Piłichowski

PLASTYKA

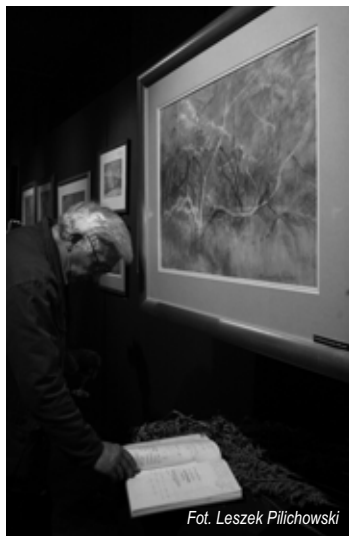
28 listopada w MGS odbyły się cztery wernisaże. Pierwszy z nich, poświęcono twórczości malarskiej Artura Nachta-Samborskiego, wspaniałego, osobnego prof. warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Ekspozycja prezentuje twórczość artysty od lat dwudziestych do lat siedemdziesiątych ubiegłego wieku. Małoformatowe kompozycje malarskie, pejzaże, martwe natury, portrety, akty, malowane syntetyczną charakterystyczną płamą o miękkim przełamaniem nasyconym kolorze, zachwycają swoją wirtuozerią i bezbłędną orkiestracją całości. Wystawa bezcenna ze wszech miar. Piękne malarstwo – nigdy nie jest go za dużo.

Młode malarstwo z Częstochowy prezentujące czołowych malarzy młodego pokolenia wyróżniających się swoją kreatywnością i aktywnością wystawienniczą. Wybitne malarsko prace z trzynastoosobowego grona wybrańców zaprezentował Łukasz Kolman. Artysta obdarzony wielkim talentem zdominował swoimi sakralnymi przedstawieniami całość wystawy. Kuratorem tego interesującego przedsięwzięcia jest Piotr Głowacki. W wystawie biorą udział: Justyna Biskup-Naumienco, Bartosz Frączek, Monika Gągorowska-Rakowska, Jarosław Jaksender, Jakub Jakubowski, Łukasz Kolman, Małgorzata Mizera-Króliszewska, Adam Rokowski, Małgorzata Stępiak, Jacek Sztuka, Joanna Zjawiona, Krzysztof Żyngiel. Interesujący merytorycznie katalog do wystawy przywołuje wypowiedzi młodych twórców o malarstwie oraz teksty organizatorów wystawy.



Fot. Leszek Pilichowski

Także w MGS jubileusz czterdziestolecia pracy twórczej uczciła przeglądową retrospektywną wystawą Adela Wiśniewska. Jak zwykle przy takich okazjach było odświeżenie, galowo, wielu gości, wiele przemówień i życzeń. Autorka jubilatka pokazała ponad sto prac z różnych okresów twórczości. Dominował pastel, były też interesujące akwarele (znad Balatonu). Kilka prac bardzo pięknych (zwłaszcza sady), malarskich, przedstawieniowo dojrzałych, zachwycało znawców tematu i technicznej sprawności. Malarka, oprócz pejzażu, pokazała kwiatową martwą naturę i nieliczny portret.



Fot. Leszek Pilichowski

Czwartą prezentacją w MGS była ekspozycja laureatki Nagrody Dyrektora MGS w Częstochowie w III Ogólnopolskim Konkursie na obraz dla młodych malarzy im. Mariana Michalika, Triennale Malarstwa Częstochowa 2007. Małgorzata Synak – Idczak pokazała na kameralnej wystawie kilka wielkoformatowych obrazów z płaszczyznowo syntetycznie rozwiązaną kompozycją figuralną. Postać człowieka jest w jej wydaniu bardzo umowną ciemną sylwetą rozświetloną intencjonalną kolorystyczną płamą. Ta poetycka postawa malarska, jeśli chodzi o podejście do tematu, zasługuje niewątpliwie na uwagę.

Marian Panek



Zbigniew Burda - Kolotka na jednej z bram Jasnej Góry

PLASTYKA

Trzecia odsłona Triennale Sztuki Najnowszej

Cztery przestrzenie sztuki

Marian Panek

Otwarcie trzeciej części Triennale odbyło się 8 listopada w Konduktorowni Regionalnego Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych - przy licznie zgromadzonej publiczności, zwłaszcza młodzieży studenckiej i również tej artystycznie wstępującej w świat sztuki. Wystawa zaprezentowała 25 artystów z Warszawy, Krakowa, Łodzi, Poznania, Szczecina, Wrocławia oraz z Częstochowy. Jak wynika z tytułu wystawy, każda z czterech zdefiniowanych przestrzeni reprezentowała kilku artystów. Tak więc „przestrzeń kulturową nowego i starego mitu” wypełniły prace Bettiny Beres, Andrzeja Fogtta, Stanisława Koby, Włodzimierza Kuleja, Artura Malewskiego, Tomasza Musiała, Wojciecha Prazmowskiego, Agaty Zbylut. Przestrzeń badawczą pola języka sztuki i zmian w tym polu przedstawili w swoich koncepcjach

artystycznych: Bożenna Biskupska, Piotr C. Kowalski, Kamil Kuskowski, Zygmunt Rytka, Katarzyna Skrobiszewska, Grzegorz Szwertnia. Przestrzeń trzecia – sztuki krytycznej związanej z niegodziwościami społecznymi, wyznaniowymi, wykluczeniami społecznymi, plcią kulturową, sztuka antykonsumpcyjną – zaprezentowali: Dariusz Cierpiął, Wojciech Ćwiertniewicz, Anna Mierzejewska, Beata Stankiewicz. Czwartą przestrzeń - sztuki ulicy -wykreowali: Michał Błach, Monstfur czyli Łukasz Gawron, Bartek Stypka oraz Zoostuff Adam Żurawiecki.

Każda z tych przestrzeni, różna jakościowo i merytorycznie, prezentowała prace powstałe w latach 2005 – 2008 czyli te najnowsze, interpretujące współczesność i to wszystko, co w niej istotne w sensie przemian społecznych, wartości kulturowych czy indywidualnych odczuć i przeżyć związanych z osobistym artystycznym losem w czasach nowej mitologii massmedialnego cyfrowego przekazu i opracowania wszelkich kategorii informacji.

Ekspozycja składała się z malarstwa, rzeźby, instalacji, fotografii, projekcji videoartu, dokumentacji zdjęciowej, autorskiego filmu, performance, graffiti bez szablonu, grafiki szablonowej.



Tydzień później, 15 listopada, odbyło się zapowiadane wcześniej w czasie wernisażu, spotkanie z publicznością, podsumowujące trzy kolejne wystawy Triennale, których kuratorami byli kolejno Piotr Głowacki, Altea Leszczyńska i Marian Pańek. Po prezentacji koncepcji i uczestników tych ekspozycji, głównym tematem dyskusji były recepcja sztuki najnowszej w różnych kręgach społecznych i zawodowych. Wypowiadali się m.in. Barbara Major, krytyk sztuki, pracownik mery-

nymi w sposobach komunikowania się jednostek i grup społecznych. Pokoleniem otwartym na to wszystko, co współczesne w sztuce. Podkreślano wagę tej i pozostałych wystaw Triennale w zakresie przełamывania przyzwyczajęń publiczności związanej silnie z tradycyjnymi estetykami sztuk plastycznych, uwstecznionych i zbanalizowanych czy obarczonych tradycją przeszłości. Rozważano również problem, gdzie istnieje linia podziału między sztuką najnowszą a tą tradycyjną, obec-



Fot. Leszek Pilichowski

toryczny Miejskiej Galerii Sztuki Joanna Matyja, Elżbieta Siwek grafik komputerowy, Włodzimirza Karankiewicz artysta malarz, Krzysztof Jacek Niewiadomski, psycholog i nauczyciel akademicki, prof. Janusz Pacuda, artysta plastyk. Większość dyskutantów ubolewała nad wąską, elitarną recepcją sztuki najnowszej, poza młodym pokoleniem urodzonych w latach 80., zainteresowanych generalnie przemianami technologicz-

nie realizowaną. Padło wiele krytycznych zdań pod adresem dziennikarzy, którzy omijając trudne problemy związane z prezentacją i nagłośnieniem wartości i podstawowych cech sztuki najnowszej, związanych ze współczesną egzystencją, kondycją przeciętnego obywatela. Człowieka uwikłanego we własną przestrzeń pop kulturową, zwykle zachowawczą i będącą konglomeratem massmedialnej papki i różnego rodzaju pseudowartości.

PRZYJACIELE KULTURY

Z Janem Szymą,
prezesem Stow. Przyjaciół Gaude Mater
rozmawia Marian P. Rawinis

Istnieją w Częstochowie instytucje o charakterze kulturalnym, które mają swój budżet, pracowników, statut i plan działania. I mamy w mieście organizacje pozarządowe, które prowadzą działalność w zakresie kultury i sztuki. Jakie były początki Stowarzyszenia Przyjaciół Gaude Mater?

Stowarzyszenie powstało w 1999 roku. Był to okres, że Międzynarodowy Festiwal Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”, mający swoją tradycję w Częstochowie i ogromną rangę w świecie muzycznym – był zagrożony. Padła propozycja, której pomysłodawcą jest pan Roman Wyborski, aby powołać Stowarzyszenie Przyjaciół Gaude Mater w celu obrony Festiwalu oraz wspierania go. Z czasem okazało się, że nie ma potrzeby bronić Festiwalu, bo zagrożenie minęło, ale jest Stowarzyszenie. Zajęliśmy się więc naszą działalnością statutową. Na jednym z pierwszych spotkań Zarządu ustaliliśmy, że będziemy organizować m. in. Święto Muzyki, którego pomysłodawcą jest prof. Krzysztof Pośpiech oraz Konkurs Literacki im. Zofii Martusewicz, adresowany do młodzieży ze szkół gimnazjalnych i licealnych z Częstochowy i regionu, którego wraz z grupą byłych uczniów Pani Profesor jestem autorem.

Waszymi sztandarowymi, największymi impozami są Święto Muzyki i Konkurs Literacki im. Zofii Martusewicz.

Święto Muzyki jest organizowane od 1999 roku czyli od samego początku istnienia Stowarzyszenia. Jednym z założeń w organizowaniu święta było i jest przypomnienie i uhonorowanie osób, których pasja społecznikowska i twórczość wpłynęła na rozwój życia muzycznego w naszym mieście i regionie. W ostatnich dziesięciu latach, podczas uroczystych koncertów, prezentowaliśmy publiczności Częstochowy oraz okolic zespoły artystyczne, instytucje muzyczne oraz osoby związane z działalnością kulturalną. Kto był bohaterem tego święta? Co roku ktoś inny. Pierwszego Krzysztof Pośpiech, następne to Eugeniusz Brańka, Bolesław Ocias, Alfred Stepniowski, Dionizy Krzepczak, Chór Męski „Pochodnia”, Zespół



Fot. Leszek Piłlichowski

Szkół Muzycznych im. Marcina Józefa Żebrowskiego, Edward Mąkosza. W tym roku Święto poświęcone było, podobnie jak w roku ubiegłym, rodzinie Reszków, światowej sławy śpiewaków operowych, związanych z naszym regionem z racji zamieszkania. Jeden z koncertów poświęcony był dziesięcioleciu naszego stowarzyszenia, podczas którego prezentowaliśmy w formie filmu nasze najważniejsze przedsięwzięcia kulturalne, przypomnieliśmy głównych bohaterów Święta Muzyki. Film opowiada także o Konkursach Literackich adresowanych do młodzieży. W 9 edycjach udział wzięło około 900 uczniów. Wydaliśmy książkę „W drodze do źródła” zawierającą nagrodzone prace z sześciu konkursów. Serdeczne podziękowania kieruję do nauczycieli języka polskiego, którzy z nami współpracują. Dzięki tej współpracy na Konkurs wpływają prace, w których uwidaczniają się postawy młodych wobec życia, refleksje dotyczące przemijania i wartości w życiu człowieka. Opiekujemy się także mło-

Stowarzyszenie Przyjaciół GAUDE MATER powstało w kwietniu 1999 r. w Częstochowie. Jego celem jest organizowanie, wspieranie i promowanie działań kulturalnych oraz animacja twórczości artystycznej i jej upowszechnianie.

W działalności Stowarzyszenia na plan pierwszy wysuwa się organizowanie dorocznego Święta Muzyki, któremu patronuje św. Cecylia oraz skierowany do młodzieży Konkurs Literacki im. Zofii Martusewicz. Ponadto Stowarzyszenie prowadzi aktywną działalność wystawienniczą i wydawniczą, zwłaszcza w zakresie dot. sztuk plastycznych.

Stowarzyszenie jest współorganizatorem ważnych dla miasta i regionu imprez o charakterze ogólnopolskim: Międzynarodowego Festiwalu Muzyki Sakralnej „Gaude Mater”, Konkursu Poetyckiego im. Haliny Poświatowskiej, Konkursu pt. „Sacrum w literaturze”.

Członkowie Stowarzyszenia pracują społecznie, wszystkie pozyskane środki finansowe przeznaczają na realizację zadań statutowych.

W roku 2008 Stowarzyszenie zostało laureatem dorocznej Nagrody Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury „za całokształt działań na rzecz promowania kultury i twórców Częstochowy i regionu częstochowskiego” i otrzymało Złotą Odznakę Honorową Za Zasługi Dla Województwa Śląskiego.

Tytuł Mecenasa Kultury za rok 2007 i 2008 przyznano Częstochowskiemu Przedsiębiorstwu Komunalnemu Sp. z o.o., którego prezesem zarządu jest Jan Szyma, przewodniczący Stowarzyszenia.

dymi osobami uzdolnionymi artystycznie. Takim przykładem może być pan Mariusz Pala, który w ubiegłym roku na Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie ukończył studia na Wydziale Scenografii u profesor Zachwatowicz, a w tym roku – na Wydziale Malarstwa u profesora Stanisława Rodzińskiego. Wspieramy w formie stypendiów uczniów Liceum Plastycznego w Częstochowie. Ostatnio ufundowaliśmy też stypendium dla pana Piotra Błazika, muzyka, laureata wielu nagród w kraju i za granicą, który obecnie przechodzi rehabilitację zdrowotną. Na naszą akcję 1% dla Piotra Błazika odpowiedziało wielu mieszkańców Częstochowy. Pozyskane pieniądze przekazaliśmy muzykowi podczas ostatniego koncertu organizowanego w ramach VI Dni Kultury Chrześcijańskiej. Wydaliśmy też kilka książek. Jedną z nich jest tzw. biały kruciem, mam na myśli książkę „Władcy amerykańskiej sceny operowej: Jan i Edward Reszke”. Jak mówi pan prof. Krzysztof Pośpiech, który jest znakomitym animatorem muzycznym, świetnym dyrygentem, wychowawcą młodzieży, jest to najlepsza książka, jaka została napisana o Reszkach.

A wystawy malarstwa?

Zorganizowaliśmy ich kilka, oczywiście współpracujemy z wieloma instytucjami kultury w naszym mieście. Jesteśmy dumni z wystaw, które prezentowały malarstwo: profesora Stanisława Rodzińskiego, wystawy z cyklu „W kręgu koloryzmu polskiego”, gdzie prezentowano prace Jana Dutkiewicza, Bolesława Stawińskiego, Józefa Wasiołka, Zbigniewa Łoskota, Marka Czarnoleńskiego. Organizowaliśmy wystawy pani Irminy Majzner-Osuchowskiej, Karoliny i Włodzimierza Ściegiennych, Tadeusza Rzeźnika, Mariusza Pali, Stanisława Mazusia oraz wiele innych. Prezentowaliśmy różne wydawnictwa, najczęściej albumowe, autorów związanych z Częstochową, mam tu na myśli Stanisława Markowskiego – artystę fotografa i Tadeusza Szymę – literata. Były to wydawnictwa: „Ziemia Zbawiciela”, „Drogami Św. Franciszka z Asyżu”. Prezentowaliśmy album Karoliny i Włodzimierza Ściegiennych „Ars longa, vita brevis”. Wydaliśmy również tomiki wierszy dla dzieci, a ostatnio tomik poezji pani Łucji Szoty „Jurajskie impresje 2008”. Co roku wydajemy kalendarz, w któ-



rym prezentujemy obrazy znanych artystów malarzy i fotografików związanych z Częstochową.

Skąd Stowarzyszenie bierze pieniądze na swoją działalność?

Niektórzy mówią, że jesteśmy najtańszą siłą roboczą jeżeli chodzi o działalność na rzecz kultury. Jesteśmy nietypowym stowarzyszeniem. Nie mamy biura, nie mamy telefonu, nikogo nie zatrudniamy. Spotykamy się w zaprzyjaźnionych instytucjach. Środki finansowe, które mamy na działalność, uzyskujemy uczestnicząc w konkursach organizowanych przez miasto Częstochowa oraz przez marszałka wojewódz-

two śląskiego, ale są to środki niewystarczające na naszą działalność. Dlatego staramy się o przychyłność wielu sponsorów, którym pragnę najserdeczniej podziękować. Pozyskaliśmy również dużą kwotę z tzw. 1 procentu. Jestem ogromnie zaskoczony tą hojnością i zaufaniem, jakim zostaliśmy w tym roku obdarzeni. Może nie będę wymieniał kwoty, ale ta kwota jest kilka razy większa od kwoty, z którą rozpoczynaliśmy działalność stowarzyszenia jako organizacja pożytku publicznego.

To byłby dowód na to, że stowarzyszenie jest znane w mieście i doceniane.

Miło mi to słyszeć. Chciałbym jeszcze powiedzieć o jednym projekcie, który obecnie realizujemy. Pani prof. Zofia Martusewicz jest autorką książki pt. „Obcując ze świętymi”, którą poświęciła założycielce Nazaretanek, bł. Franciszce Siedliskiej. Książka będzie składała się z 3 części. Pierwsza opowiada o bł. Franciszce Siedliskiej, druga część będzie zawierała homilie wygłoszone przez papieża Jana Pawła II podczas uroczystości w Rzymie, trzecia część, zawierać będzie wspomnienia i wypowiedzi byłych uczniów i przyjaciół Pani Profesor. W ramach tego projektu, pani Katarzyna Deszcz przygotowuje w oparciu o tę książkę adaptację sceniczną. Prapremiera odbędzie się w Teatrze im. Adama Mickiewicza w kwietniu 2009 r. Scenografię przygotowuje Mariusz Pala, muzykę skomponował Stanisław Zaskórski. Ponadto książka będzie uzupełniona nośnikami MP3, książkę czyta pani Czesława Monczka. Nad wydaniem tej publikacji pracuje wiele osób społecznie. Za stronę plastyczną odpowiada pan Władysław Karankiewicz, za redakcję pani Anna Cichobłazińska. Ten projekt realizujemy ze środków pozyskanych przede wszystkim od wychowanków i uczniów Pani Profesor.

Mimo wielu pól działalności, Stowarzyszenie nie jest szczególnie liczne...

W Stowarzyszeniu mamy 35 osób. Zarząd siedmiuosobowy. W składzie: Jan Szyma, Grażyna Domaszewicz, Roman Wyborski, Iwona Kosta, Piotr Dobosz, Paweł Ruksza, Tomasz Głębocki. Pan Krzysztof Pośpiech obecnie jest honorowym prze-

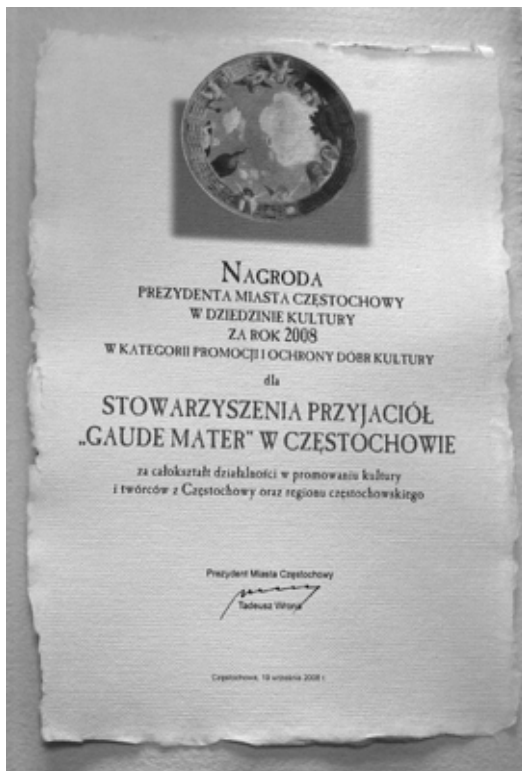
wodniczącym. Zarząd jest bardzo prężny i mobilny. Obdarzani jesteśmy zaufaniem pozostałych członków. Ogromnie jestem zadowolony i dumny z tego, że w tym roku otrzymaliśmy nagrodę Prezydenta Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury. Jest też dla nas ogromnym zaskoczeniem przyznanie dla Stowarzyszenia wyróżnienia Marszałka województwa śląskiego. Chyba jesteśmy pierwszym stowarzyszeniem w zakresie kultury, tak mi się wydaje, które otrzymało Złotą Odznakę Zasłużony dla Województwa Śląskiego. To na pewno bardzo zobowiązuje.

Nie wymienimy tu wszystkich dokonań Stowarzyszenia, to nie jest możliwe za dziesięć lat działalności. Ale podobno wymyślcie coraz to nowe projekty.

Pan Krzysztof Pośpiech przedstawił projekt, aby w Częstochowie organizowano konkurs dla śpiewaków operowych, studentów akademii muzycznych, wydziałów wokalnych, Konkurs im. Reszków. Ogólnie założenia są w trakcie opracowywania. Oczywiście, Stowarzyszenie ze względów organizacyjnych i finansowych nie udźwignie tak wielkiego przedsięwzięcia, dlatego też tę inicjatywę przekazujemy Filharmonii Częstochowskiej. My możemy ją tylko wspierać. W planie mamy też wydanie albumu związanego z trzydziestolecie pielgrzymki Jana Pawła II do Częstochowy. Chcemy w nim zaprezentować zdjęcia archiwalne, które nie były do tej pory publikowane, mogą powiedzieć, że tytuł albumu to „Powrót do Matki”. Mam nadzieję, że w czerwcu, w trzydziestą rocznicę, taki album się ukáže. Wydawcą będzie Stowarzyszenie Przyjaciół Gaudē Mater. Planujemy realizację filmu dokumentalnego o tym samym tytule.

Skoro podsumowujemy okres dziesięcioletni, czego by sobie Stowarzyszenie życzyło na dalsze lata?

Takiej życzliwości, jak dotąd i takiego wsparcia ze strony mieszkańców Częstochowy, a także z całej Polski, którzy obdarzając nas swoim zaufaniem, popierają naszą działalność poprzez przekazywanie jednego procenta podatku.



Właśnie zbliża nam się okres rozliczeniowy PIT. Warto przypomnieć o takiej możliwości.

Serdecznie proszę wszystkie osoby, które identyfikują się z nami, o przekazanie 1% na konto Stowarzyszenia. Na zakończenie, chciałbym najserdeczniej podziękować wszystkim darczyńcom. Dziękuję instytucjom kultury w naszym mieście, które z nami współpracują. Z tej wyjątkowej okazji dziękuję również Zarządowi i wszystkim członkom Stowarzyszenia Przyjaciół Gaudē Mater, życząc im i sobie zdrowia, pomyślności, a w następnych latach, żeby nasze propozycje kulturalne spotykały się z życzliwym przyjęciem przez środowiska, do których je adresujemy.

Dziękuję za rozmowę.

PLASTYKA

Dominika Radkowska Artyści nie śpią

Tworzą osobno, wystawiają razem. Trzy lata temu związała się w Częstochowie nieformalna grupa osób, które tworząc w dziedzinie sztuk plastycznych, razem organizują wystawy. Działają żywiołowo i spontanicznie pod nazwą „Naciapane”. Podporządkowują się jedynie wspólnej idei. I tak indywidualne style, własne techniki i ulubione motywy każdego z artystów zdumiewająco dobrze korespondują ze sobą w przestrzeni galerii, kawiarni, klubów. Prace mają zawsze jakąś wspólną cechę: temat, kolorystykę, format lub...co im przyjdzie do głowy. Opiekunami grupy są Ewa Kozłowska i Ryszard Baranowski, spiritus movens - Iwona Kręciwiłk, która półtora roku temu zmieniła nieco lokalizację przekazując zapal organizacyjny Magdalenie Komorowskiej i Dorocie Gąsiorowskiej.

START

Ewa Kozłowska: Pamiętam wieczór spędzony z Iwoną Kręciwiłk i Dorotą Cieśliką przy kominku i winie, kiedy stwierdziłyśmy, że skoro każda z nas oprócz codziennych obowiązków zajmuje się jakąś twórczością, to dlaczego nie wykorzystać takiego stanu rzeczy do zrobienia ciekawej wystawy. Każda z nas jest w stanie zrobić jedną, dwie prace w ciągu miesiąca. A kiedy jest dużo osób, wychodzi z tego spory pokaz. Po wystawie w „Babim Lecie” pomyślałyśmy, że tę działalność można kontynuować. To była wystawa kobieca, bo taki jest charakter tego miejsca, ale później, przy organizowaniu innych wystaw do grupy dołączyli również mężczyźni.

Dominika Radkowska: Jak udało się zainteresować i zorganizować tak wiele osób?

Iwona Kręciwiłk: Myślę że zadziałała zasada kuli śnieżnej. Dosłownie. W naszej pierwszej wystawie w „Babim Lecie” w 2005 roku brało udział około 10 osób, ale na wernisaż przyszło też sporo obecnych uczestników wystaw i to, myślę, zadziałało jako wabik, obudziło jakieś tęsknoty, pobudziło aktywność i na nowo wiarę, że może warto pokazywać się czasem, w końcu trzeba to powiedzieć, że wystawa to ten element pracy, który daje satysfakcję wykonawcy, a oglądającym przypuszczalnie radość. Poza tym w którymś momencie uczestnicy zaczęli sami werbować nowe osoby, a obserwatorzy zaczęli sami dopytywać, czy można wziąć udział w następnej wystawie. Czyli wnioskuję, że taki typ współdziałalności potrzebny jest.



Fot. Radek Majer

NAZWA

Iwona Kręciwiłk: Postanowiliśmy się nazwać już na drugiej naszej wystawie w Rue de Foch, tam też odbyła się pierwsza burza mózgów, bo od razu zaczęliśmy myśleć o stronie internetowej jako o miejscu, gdzie można nas zobaczyć i potrzebne było jakieś nośne hasło. Ostatecznie nazwa została pierwszy raz wymalowana na parasolkach, podczas mini happeningu na 1 Nocy Kulturalnej w nie istniejącym już „Barze pod Gruszą”. Mam nadzieję, że ta nazwa sugeruje jednocześnie od-plastyczne pochodzenie, jak i przymruza oko?

Ewa Kozłowska: Jest zdjęcie, ze spotkania „Pod Gruszą”, na którym Dorota Cieślik zakrywa się kartką z napisem „Naciapane”.

IDEA

Dominika Radkowska: Spoiwem łączącym prace bywa temat, format, kolorystyka - dzięki temu wszystko świetnie razem wygląda we wnętrzach galerii. Czyj to pomysł?

Iwona Kręciwilk: Mam wrażenie, że mój (śmiech). W końcu człowiek wyniósł wykształcenie pedagogiczne ze szkoły! A wydało mi się to sposobem na połączenie właśnie tylu osobowości, podejść, różnorodności talentów, jakie mamy w Naciapanych. No i jest to sposób na pewien dialog między nami, jaki się odbywa w ten sposób, stymuluje nas. Jest to też sposób gry z miejscem, jakie mamy do dyspozycji-ekspozycji, z czasem, z jakimiś aktualnościami.

Ewa Kozłowska: Każdy z nas w inny sposób wyraża się w sztuce. Ograniczanie tego do techniki nie ma sensu. Sens ma zaproponowanie jakiegoś tematu, który pozwala każdemu przetworzyć go na swój sposób. Myślę, że idea scalającego tematu daje ciekawe rezultaty. Tematy są bardzo różne - od określenia kolorystyki, czyli na przykład wystawa w Augustowie p.t. „Białe, czarne, czerwone” po ideowe określenia, jak „Aero” w Kielcach. Pokazujemy malarstwo, rysunek, grafikę, fotografię, działania cyfrowe, fotomontaże, renowacje bardzo starych zdjęć i różne inne rzeczy. Myślę, że jest to atut grupy, że nie jest to samo malarstwo, sam rysunek czy inna jednolitość - chyba, że sobie zadamy z jakiejś okazji taki mianownik. Myślę, że za każdym razem taki pokaz jest ciekawy. Nas samych intryguje, jak będzie wyglądała każda kolejna wystawa, jak wypełni określone wnętrze.

Dorota Gąsiorowska: Chcemy coś zrobić i robimy, a trzyma nas to, że możemy działać razem. Każdy z nas oddzielnie prawdopodobnie nie znalazłby czasu ani motywacji, żeby tworzyć. W grupie się podbudowujemy.

Ewa Kozłowska: Działamy spontanicznie. Ktoś z nas dzwoni i mówi: mamy miejsce, robimy wystawę. Rzucamy temat, inne ustalenia - bawimy się sztuką.

Ryszard Baranowski: To jest uprawnione, bo dzisiaj w sztuce nie ma stylu - nie potrafimy go rozpoznać. Być może z czasem będzie się dalo coś z tego wyprzebarwić. A to, co dzieje się teraz w sztuce, to kompletna magma.

Ewa Kozłowska: Nie dążymy do tego, żeby wystawić w dużych, wzniosłych galeriach, do których nikt nie

przychodzi - gdzie robi się wernisaż, a potem jest pusto do następnego wernisażu. Dla nas jest ważne, żeby ludzie to oglądali, więc bardzo nam pasują ruchliwe miejsca - galerie przy klubach, sale koncertowe. Sądzę, że to może być zarzut ze strony wybitnych artystów, którzy uważają, że dla odbioru ich dzieł potrzeba ciszy i skupienia.

SKŁAD

Ewa Kozłowska: Prawie wszyscy jesteśmy absolwentami naszej fantastycznej uczelni - Akademii im. Jana Długosza. Zapraszamy również gości z zewnątrz, nie mamy rozgraniczenia, czy ktoś kończył kierunek artystyczny, czy nie. Jest pełna akceptacja, swoboda i współpraca. Zdarzają się osoby, które goszczą u nas tylko raz, ale skoro trzon grupy tworzą osoby uczestniczące niemal w każdej wystawie, to zapraszanie osób z zewnątrz, nawet jeżeli prezentują się tylko raz, ma swój sens. W naszej uczelni, którą wszyscy skończyliśmy, dostrzeżono wagę pewnej sytuacji - okazało się, że uczelni brakuje uzupełnienia takiego hasła: co robia nasi absolwenci. I dzięki nam wiadomo, że oprócz tego, że sobie radzą w życiu, to również uprawiają sztukę i organizują się.

Dominika Radkowska: Grupie męzczyźni są w tak znaczącej mniejszości w Czemu?

Iwona Kręciwilk: Powiem szczerze: nie mam pojęcia! Proszę o wypowiedź na ten temat socjologów!

Ewa Kozłowska: Ubolewamy nad tym, że jest mało męzczyzn. Jest to tendencja, która również w naszej uczelni utrzymuje się od wielu lat. Panowie nie dopisują, może wolą bardziej techniczne kierunki.

Dominika Radkowska: Część z nas po studiach wyjechała z Częstochowy.



PLASTYKA

Ewa Kozłowska: Sporo osób się rozjechało – to Warszawa, to Dublin, to Reszel, Sztokholm, Larnaka... Teraz nie ma znaczenia, czy to Dublin, czy Reszel, wszędzie jest blisko.

Dominika Radkowska: Mamy więcej ambasad. I więcej miejsc do wystawiania.

Ewa Kozłowska: Tak, to też jest pewna zaleta. To dobrze, że ludzie znajdując swoje miejsca, ciągle pamiętają, dzwonią, przysyłają prace.

STERY

Dominika Radkowska: Iwona półtora roku temu wyjechała do Irlandii. Po jej wyjeździe nie myślałam, że grupa będzie potrafiła działać dalej.

Ewa Kozłowska: Uknuliśmy pewną damską intrygę i w jej wyniku rola przewodnia została przekazana w ręce Magdaleny Komorowskiej i Doroty Gąsiorowskiej.

Magdalena Komorowska: Myślę, że my dobrze się dopełniamy.

Dorota Gąsiorowska: Iwona jest z nami, niezależnie od tego, że jest dwa tysiące kilometrów stąd. Przysyła prace na wystawy.

STRONA

Naszą istotną wizytówką jest strona internetowa. Musimy ją ciągle budować, chcemy zamieścić więcej zdjęć, nasze biogramy. Opiekuje się nią Małgorzata Koziół. Dokumentujemy na niej wszystkie wydarzenia. Zaczynamy poważnie, te trzy lata zaczynają zobowiązywać, krystalizuje się skład grupy – z tych kilkudziesięciu osób, które spontanicznie na początku brały udział, wyłaniają się osoby stale działające. Nie mamy żadnego sponsora, jesteśmy grupą niezależną, nikt od nas niczego nie wymaga.

WYDARZENIA

Dominika Radkowska: Czy pierwszą wystawą była ta pod tytułem „Złe towarzystwo”?

Iwona Kręciwilk: O! To była osobna sprawa, ale rzeczywiście można tę wystawę potraktować jako prawdydarzenie. Wiele osób, które wzięło udział w tamtej wystawie w studenckiej Galerii Japko w budynku WSP, działa teraz w Naciapanych: Ewa Kozłowska, Magdalena Komorowska, Tomek Rzepecki, Rysiek Baranowski i Iwona Kręciwilk, to ten wspólny pod-

zbiór. Tamta wystawa była taką reakcją, na kogoś niefortunny komentarz na temat naszych spotkań towarzyskich właśnie. No i chcieliśmy w swoisty sposób się zrewanżować za to określenie „złe towarzystwo”. Tak! Dobrze się bawiliśmy, a o to nam – przeważnie, bardzo często, zazwyczaj – chodzi!

Ewa Kozłowska: Wystaw było już dość sporo – również w Augustowie, Kielcach, w Łodzi, Wieluniu, więc można powiedzieć, że w całym kraju mamy wystawy. Zaczynamy być zapraszani. Miło było uczestniczyć w teatrze w ostatniej premierze poprzedniego sezonu, kiedy były wystawiane „Trzy siostry” Czechowa, a my mieliśmy pokaz swoich prac. Był też happening „Naciapanie” dla Tybetu w klubie Politechnik. Robiliśmy akcję z instalacją. Okazało się, że jesteśmy całkiem zgrane, każdy się odnalazł. Nabraliśmy apetytu, będziemy się szykować na następne akcje.

Ewa Kozłowska: Po każdej wystawie zostaje ślad w formie wirtualnej na naszej stronie internetowej i w formie mini-wydruku, na którym pojawia się informacja w jakim składzie bierzemy udział wystawie, reprodukcje. Robimy to we własnym zakresie, składkowo. Dobrze, że miasto postarało się o słup ogłoszeniowy „na kwadratach”, na którym można powiesić plakat o wystawie czy koncercie.

Dominika Radkowska: Prócz informacji i reprodukcji na każdej ulotce czy plakacie towarzyszącym jakiemuś wydarzeniu pojawia się poetycki komentarz Ewy Kozłowskiej. Te teksty to „wiersze najszczęstsze”. Ewo, ta twórczość zrodziła się razem z działaniami grupy, czy wcześniej miała swoje początki?

Ewa Kozłowska: Od dawna coś tam sobie piszę – choćby wiersze na różne uroczystości rodzinne. A te teksty tematycznie związane z wystawami też jakoś naturalnie przyszły mi do głowy.

Iwona Kręciwilk: Ewa jest multi!!! Pewnie jak w większości z nas drzemie w niej mnóstwo talentów, które tylko czekają, aby znaleźć swoje ujście. Mało kto wie, że na przykład potrafi też szkolić psy i je strzyć. Profesjonalnie! Oj! Coś czuję, że mam pomysł na następną wystawę. Tytuł roboczy „Ja – zwierzę”.

Co robią kobiety? Babie lato, Częstochowa, październik-listopad 2005

Pejzaż miejski, Rue de Foch, Częstochowa, styczeń 2006

Włoskie smaki, Topollino, Częstochowa, maj 2006

Parasolki, akcja podczas Nocy Kulturalnej, Pod Gruszą, Częstochowa, 2005

Białe, czarne, czerwone, Fabryka Nastrojów Sport & Music Club, Augustów, grudzień 2006

Ornament, Cafe Belg, Częstochowa, maj 2007

Przyptyw, Keja, Łódź, czerwiec 2007

Aero, Dom Środowisk Twórczych, Kielce, listopad 2007

Jesienny temat, Cafe Belg, Częstochowa, grudzień 2007

Naciapanie dla Tybetu, happening, Klub Politechnik, Częstochowa, kwiecień 2008

Trzy siostry, Teatr im. A. Mickiewicza, Częstochowa, maj 2008

To co lubię, Galeria Art Deco, Wieluń, październik 2008

Janusz Mielczarek

CZĘSTOCHOWSKI PAŹDZIERNIK 1956

20 października 1956 roku jechałem pociągiem do Warszawy. Od paru miesięcy wiadomo było, że w jedynie słusznym „sojalistycznym łagrze” sytuacja jest napięta. Jednak jej grozę uświadomiła mi dopiero ta podróż. Od Skierniewic wszyscy pasażerowie tłoczyli się przy oknach, aby w milczeniu przyglądać się, jak na każdej mijanej stacji stoją pociągi pełne czerwonoarmistów. Na platformach pod plandekami skrywał się ciężki sprzęt bojowy, a na peronach pełnych żołdactwa dymiły wojskowe kuchnie, palono ogniska.

W Warszawie napięcie niesłychane: FSO na Żeraniu otoczone radzieckimi czołgami, a w godzinach południowych na Okęcie wyładował samolot z Chruszczowem i Woroszyłowem. Gomułka dzielnie podziękował towarzyszom za internacjonalistyczną pomoc i sowieccy władcy wrócili do Moskwy.

Pomny tamtych obrazów grozy, kiedy słyszę dzisiaj w telewizorze dywagacje uczonych doktorków – czterdziestolatków na temat ewentualnej interwencji Wielkiego Brata, bagatelizujących tamto zagrożenie, to po prostu „nóż się w kieszeni otwiera”.

Nazajutrz, jako student Wyższej Szkoły Ekonomicznej w Częstochowie, wraz z całą męską częścią II roku studiów miałem w planie całodzienne zajęcia w Studium Wojskowym. Rano koleddy z Politechniki Częstochowskiej donieśli, że organizowany jest wiec polityczny w Hali Budowy Maszyn. Z delegacją udaliśmy się do kierownika Studium, płk. Stankiewicza, aby zezwolił w nim uczestniczyć. Głosem zatrącającym wschodnim akcentem zrobił „przed frontem” wykład na temat dezercji z wojska i podobnych bredni, choć wyglądało na to, że sam za bardzo nie wierzy w to, co mówi. Gdy skończył i odszedł, w czasie gorączkowej narady powiedziałem, że ja na wiec idę. Poszli wszyscy. Kilku z nas namalowało na pakunkowym papierze różową farbą – taką tylko ktoś zdołał zorganizować – hasła, oczywiście buntownicze, i poszliśmy.

Na miejscu atmosfera była wielce bojowa, zwłaszcza po tym, jak zabrał głos jeden ze studentów WSE, który cztery lata przesiadział za przynależność do patriotycznej organizacji w liceum, a zaraz po nim student Politechniki, który wiecznie wikt poznał za opowiadanie dowcipu politycznego, o czym doniósł inny student – kapuś C. Zrobiło się gorąco. Sala skandowała: powieś C.! powieś C.! Sądzę, że doszłoby do linczu, gdyby C. chwilę wcześniej nie umknął z tego miejsca. Na środku hali płonęło ognisko z manifestacyjnie wrzucanych do ognia legitymacji ZMP. Po podejmowanych przez różne osoby próbach zapanowania nad tłumem gorących głów, udało się to dopiero ówczesnemu Rektorowi Politechniki, prof. Jerzemu Kokałowskiemu. Wiec kończył szef „Awangardy” – Ryszard Dziurka, wzywając do uczestnictwa w popołudniowym pochodzie do centrum miasta.

Trzeba w tym miejscu dodać, że „Awangarda”, czyli Rewolucyjny Związek Młodzieży Studenckiej, powstała w kwietniu 1956 roku na Wydziale Metalurgicznym Politechniki. Tworzyło ją 30 osób, a jej program, poza radykalnymi hasłami politycznymi, zawierał także m.in. elementy niesienia pomocy ludziom poszkodowanym i dyskryminowanym przez „władzę ludową”.

Pochód Częstochowskiego Października zaczął formować się przy ul. Kościuszki, w zbiegu z Jasnogórską, gdzie „ci

z miasta” oczekiwali na „tych z akademików”. Nie było jeszcze przebiecia ulicy w kierunku północnym. Zbliżając się do al. NM Panny, pochód liczył już około tysiąca osób, a wciąż przyłączali się nowi ludzie. Z ul. Kościuszki skierowano się ku Jasnej Górze. Było pogodnie, słoneczne popołudnie. Z okien i balkonów pozdrawiano nas i powiewano biało-czerwonymi chorągiewkami. Najczęściej wznoszony okrzyk to: „Rokosowski zjeżdżaj z Polski!”. Inny, interpretowany w szczególności sposób, dotyczył kardynała Wyszyńskiego. Odbywało się to tak. Człoto pochodu skandowało: „gdzie jest Kardynał Wyszyński?”, w dalszej jego części odpowiadano: „a żeby to kto wiedział!”. Bardzo serdecznie pozdrawiano nas z balkonu domu w al. NM Panny 52, na którym z rodzinami, rzucając ku nam kwiaty, stali: p. Nagłowski, ostatni z właścicieli słynnej częstochowskiej drukarni, oraz hrabia Załuski.

Pochód zatrzymał się przy budynku Kurii Biskupiej, wznosząc okrzyki na cześć Kardynała Wyszyńskiego. Gdy ruszono ponownie, pojawiły się rozbieżności, czy iść na Jasną Górę, do czego nawoływali jedni, czy zwracać, za czym optowali inni. Do powrotu nawoływali również idący niedaleko mnie, anonimowo, późniejszy funkcjonariusz różnych ważnych komitetów PZPR. Ilu jemu podobnych, a także „umysłnych”, przygotowanych na ewentualne prowokacje, znajdowało się w tym pochodzie? Ostatecznie przeszliśmy na południową stronę alei, kierując się pod Ratusz, na którego schodach płomienną, patriotyczną przemowę wygłosił wspomniany wcześniej Rysiek Dziurka. Ale poza grozą słów nic więcej się nie wydarzyło, choć jedna ze stron była na to przygotowana. Dowiedziałem się o tym ponad dwadzieścia lat później. W Ratuszu, zabarykadowana workami z piaskiem i wyposażona w broń z ostrą amunicją, gotowa na odparcie ataku studenckiego motłochu – jak nas określał tak zwany aktyw – oczekiwała ZMP-owska robotnicza grupa bojowa. Dwóch z tych, którzy mnie także mieli wówczas na muszce, żyje jeszcze. Spod Ratusza, poprzez plac, pochód Październikowego protestu, rzędąc po drodze, wrócili do akademików.

Kilka dni później, po wybuchu Rewolucji Węgierskiej, środowisko studenckie, wspierane przez część młodzieży licealnej, wyjątkowo ofiarnie oddawało krew dla węgierskich przyjaciół. Częstochowska akcja kierował nasz kolega, wówczas student I roku Wydziału Włókiennictwa na Politechnice, Janusz Michalkiewicz. Ale która z walczących stron przejęła spontanicznie ofiarowane w całej Polsce dary krwi? Teżo się nigdy naprawdę nie dowiedziałem.

Choć polityczne hasła Polskiego Października błakły, stając się powoli mirażem, to ideowi chłopcy z częstochowskiej „Awangardy”, co rusz łajani przez UBecję, działali dalej. Było tak do czasu, gdy któregoś lutowego dnia smutnym faceci w skórzanych płaszczach zgarnęli krąbne towarzystwo i w mroźny, śnieżny wieczór wywieźli pod Olsztyn. Zabrali im ubrania i kazali na piechotę wracać do Częstochowy.

Moje zdjęcia z Października były w archiwach SB. Przypomniano mi o nich w czasie starań o pierwszy wyjazd na Zachód w latach 70. Na pamiątkę pozostał mi ten plakacik, który niosłem zawieszony na szyi, prowadząc w pewnej chwili, jakiś czas przed zakończeniem pochodu, „studencki motłoch” przez plac – wówczas jeszcze Józefa Stalina, a dopiero później Władysława Bieganskiego.



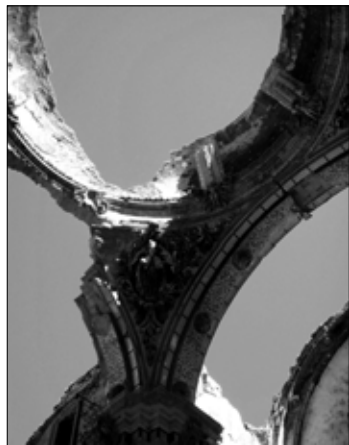
UMARŁE MIASTO

Belchite, małe zabytkowe miasteczko w Aragonii, kilkadziesiąt kilometrów od Saragossy. W sierpniu i wrześniu 1937 roku przebiegał tu front bitwy nad Ebro. Republikanie bronili miasta, ale po zacieklej walkach i bombardowaniach zostali wyparci przez faszystów. Po zakończeniu wojny dawni mieszkańcy wybudowali nowe Belchite, w odległości kilkuset metrów od starego. Zniszczone zabudowania, barokowe kościoły i klasztory zrujnowanego miasta nie zostały rozebrane. Trwają do dziś, w dziwnej, niezziemskiej postaci, pozbawione ludzi, zwierząt, głosów i zapachów życia...





Fotografie: Marek Pernal





Rys. Arkadiusz Zajac. Reprodukacja Zbigniew Burda

Wojciech Kopciński
LUSNOK

Lusnok, co robisz, co robisz. Przecież jestem z tobą, choć tylko myślami, ale jestem i będę z tobą, przy tobie i w tobie. Wybacz, jest mi źle, kurewsko źle. Proszę, mów ciszej, mów najciszej jak umiesz. Boję się, bardzo się boję patrzeć wstecz, boję się myśleć, boję się pragnąć. Niestety, nauczyłaś mnie tylko stawiania przecinków, choć miłość nauczyła mnie strachu o ciebie i strachu przeszłości. Strachu przyszłości uczył mnie los już w dzieciństwie. Masz pisać, masz talent. Proszę, powiedz, co zrobić ze strachem, co zrobić z łaknieniem, co zrobić z fizycznym pragnieniem ciebie. Powiedz, jak żyć, powiedz, jak wyjść ocalonym. Proszę, powiedz mi to teraz, natychmiast, natychmiast... Piszę, bo chcesz. Nie, piszesz, bo słów w tobie tyle. Popatrz, za oknem słońce. We mnie tylko ostatniość dotyku rąk i ust. Pachniesz, pachniesz łąką i mną. Jestem zmęczony, bardzo zmęczony. Przyplłyn jeszcze raz, tak jak kiedyś, przyplłyn i bądź moją przystanią, ciszą nocy i wrzaskiem poranka. Jesteś przy mnie, byłaś zawsze przy mnie, proszę Boga, by tak pozostało, ale boisz się, boisz się Go prosić o łaskę. Cóż ja jestem wart, patrzyłaś mi w oczy, dotykałaś ich, pozostał strach, strach o ciebie i o nas. Jestem już starcem. Niestety. Życie wylało swoją ostatnią prawdę. Byłaś w przeszłości, teraźniejszości i pozostaniesz na zawsze w przyszłości. O wieczności z pewnością zadecyduje Pan Bóg. Nic nie mówić, nikogo nie dotykać, nikogo nie słyszeć, nikogo, nikogo, prócz ciebie. Stać się ciszą, naszą ciszą. Nocami jesteś tylko snem, dniami przylatujesz jak anioł. Nie jestem lepszy od innych, i nie chcę takim być. Na spodniach krople czasu i strachu. Jestem teraz z tobą, przy tobie i w tobie. Mów ciszej, proszę. Nie patrz tak na mnie, znowu jestem takim, jak chciałaś - pisarzem. Proszę, nie patrz tak na mnie. Chcesz, znowu napiszę kilka dobrych zdań, chcesz, wejść w twoje myśli tak, jak jeszcze umieć nie umiałem, chcesz, wyfrunąć przez okno, by żyć, by śnić, by znowu nie upaść, by znowu z tobą wędrować do nieznanych nikomu krain.

Znalazłaś książkę mojej młodości, znalazłaś, by znowu dać mi życie, znalazłaś po jutro, po pojutrze. Nie chcę otwierać jej stron. Nie chcę. Boję

się. Starzec podobno nie popełnia zbyt wielu błędów, a przecież młodzieniec ma do nich prawo. Na litość boską, ma do nich prawo! Wszędzie jesteś ty i tylko ty, tak samo piękna jak widok z mojego okna. Kocham cię ciszą, kocham cię wspomnieniem, ale też i strachem. Niestety, też strachem. Krzyk żołądka i lodowate plecy. Nie piszę, to wszystko wylewa się ze mnie, by płynąć do ciebie. *Wiem, jesteś w tym dobry, ale wiesz też, że jestem dobry*, albo lepszy przeżytymi wspólnie dniami i nocami, których teraz tak bardzo mi brak. Nie umiem już iść bez ciebie i już nie chcę bez ciebie iść dalej. Nikt mnie tak nie tulił i nikt do mnie tak mówić się nie odważył. *Znowu wiesz, po co i dlaczego piszesz*. Bo jesteś, bo byłaś, bo we mnie zawsze będziesz. Jest mi smutno, przerażająco smutno. *Czas zaczął pędzić, zaczynaś rozumieć*. Za chwilę spojrzę w swoje oczy. Przeszłość jest moja, tylko przeszłość jest moja. *Cichutko, proszę, cichutko*. *Było, jak było, jest, jak jest i będzie, jak być musi*. Chcę wtulić się w ciebie i milczeć, szukać ciszy, słońca, bez rozpaczny następnego poranka. Jestem Lusnokiem, twoim Lusnoczkiem, ty jesteś moim sercem i arterią, i wspomnieniem, jedynym wspomnieniem. Nie budź mnie, proszę, nie budź. Kochaj mnie, proszę, tylko kochaj. Dlaczego chcesz, bym pobiegł w przeszłość? Dlaczego chcesz, bym czytał moją książkę, przez nikogo jeszcze nie przeczytaną książkę? Tam jest, jak jest i inaczej być już nie umie. Jak zawsze, jak zawsze, jak od zawsze, jak od wieczności. Jedno twoje słowo i cisza stać się musi. Chcesz tego, naprawdę chcesz tego... Chcesz tego? *Chcę, musisz przeczytać ją do końca*. *Obiecujesz?! Tak, obiecuję*.

Biały sufit, białe ściany, ostry zapach szpitala. A jednak żyję, cholernie przeznaczenie. *Kim ty naprawdę jesteś?* Nawet nie umiałem odebrać sobie życia. Kto zawołał lekarza, czy przeczytali mój pożegnalny list? Żyję, choć nie chcę, żyję, bo inni tak chcą, żyję, bo muszę nie wiedzieć, po co żyję. Zapaliłbym. Szkoda, ten szpital to nie hotel, ani popielniczki, ani telefonu. Dlaczego nie jestem na wspólnej sali z innymi partaczami-samobójcami? Przecież tego dnia nie tylko ja próbowałem odejść na zawsze.

Moja pamięci, gdzieś jestem, gdzieś żyję, gdzieś robię krok po kroku, gdzieś pamiętam i gdzieś jest mi smutno. Proszę, nie każ mi czytać zdań tego szczeniaka. Nieważne, już nic nie jest ważne. Dziękuję za ciebie, za spotkania, za

zapach twoich włosów, za twoje piękno, za ciszę, za kroki poza życiem, dziękuję za twoją mądrość. Wiem, że umarłaś, wiem, niestety, wiem. Pozostała tylko cisza, cisza, ale nie taka, jakiej szukam. Kochałem cię, słyszysz, kochałem. *Proszę nie mów już nic, tylko czytaj, proszę, czytaj*. Chwilami byłaś przy mnie, chwilami, chwilami... *Ciszej, mów ciszej, szepcz*. Pamiętasz, a jednak pamiętasz. Jestem bardzo zmęczony. Bardzo. Odpływasz ode mnie, płyniesz gdzieś w nieznane. Płaczę. Wybacz, proszę, wybacz smutne dni. Wybacz, proszę, wybacz moje inne drogi. Zapamiętaj, proszę, zapamiętaj moją dzikość i mnie. Pewnie tam, gdzie jesteś, słyszysz już głos Pana, nie czujesz już bólu, nie widzisz białych ścian i nie czujesz już strachu przed śmiercią, który otuli każdego z nas. Tyle chciałem ci powiedzieć. Nie zdążyłem. Umierałaś w szpitalu, wiedziałem o tym, wiedziałem, ale nie przyjechałem. Pozostały tylko wyrzuty sumienia i ta kartka, na której znowu pisać zacząłem. Nie chciałem się z tobą żegnać. Nie chciałem i już. Wiem, że straciłaś przytomność, wiem, że Bóg uszanował tym twoje ostatnie chwile, ale tak trudno jest mi się teraz modlić. Jestem słaby. Jestem słaby. Znowu wchodziłem w przekłete ogrody, znowu miałem wizje i znowu bałem się przeogromnie. Teraz muszę żyć, choć sił coraz mniej. Moje ściany za chwilę zwałą się na mnie, ale przecież nie mogę pozwolić umrzeć moim wspomnieniom. Dziękuję ci za nie. Dziękuję. Cały pokój w popiele, nie umiem znaleźć popielniczki tak samo, jak nie umiem teraz odnaleźć siebie. Tak daleko odszedłem, tak daleko. Kartka po kartce, zdanie po zdaniu, łyk po łyku. Jesteś, jesteś tu i teraz. Gdzieś dzwonią, gdzieś żyją, gdzieś są szczęśliwi. A my, a my. Idź tam pomalutku, idź, proszę, idź pomalutku. Wszystko wrzucę w rzekę. Wrzucę. Tam jest tam. Tyłu przyjaciół i tyle mojego buntu. Boże, to nie tak, to nie tak. *Lusnok, od dawna wiedziałeś dokładnie, że ten dzień nadejść kiedyś musi, by rozciągnąć swe władanie na ostatnie chwile twojego życia. Od dawna też każdego dnia po przebudzeniu, zanim otworzyłeś oczy, pytałeś samego siebie – czy to właśnie ten poranek jest już tym porankiem – i od lat niezmiennie w tej własnej chwili przypominaleś sobie swoją niedokończoną książkę. Przestałeś ją pisać, by się nie odkryć nieskończenie przed ludźmi w chwili, kiedy jasność twojej gwiazdy przestała mieć dla ciebie jakiekolwiek znaczenie. Zасыpiając każdej nocy próbowałeś odnaleźć w przyszłości ten poranek szukając jego pory roku, koloru, a nawet zapa-*

chu, ale twoje poszukiwania zbyt często przerywał ucisk w klatce piersiowej i nakazywał ci szukać ratunku przed otwartym oknem. Chłód nocnego powietrza i milczące światła odległej szosy po chwili przywracały ci siły na tyle, że mogłeś wrócić do łóżka i uciec w światy bez bólu. Zасыпiałeś wyłącznie po to, by nie patrzeć na świat, który przestałeś kochać. Zapadałeś się w sen niczym w śmierć i dlatego po przebudzeniu przez wiele minut nie mogłeś skojarzyć, jaka miejscowość jest za twoim oknem. I dzisiejszego poranka tak samo jak we wszystkie poprzednie spojrzales w okno, by ostre światło jak najszybciej przywróciło do życia twoje oczy. W pierwszym momencie wszystko było dokładnie takie samo jak wczoraj rano, nawet zieleń miała ten sam kolor; ale tylko do chwili, kiedy zobaczyłeś idących przez pokój jak w kondukcie wszystkich ludzi, którzy kiedyś stanęli na twojej drodze. Bardzo chciałeś zamknąć oczy, by choć na chwilę przerwać ból pękających błon, ale nie znalazłeś na to w sobie wystarczająco dużo odwagi. Na końcu pochodu zobaczyłeś mnie, Ennovi, i zacząłeś przypominać sobie dzień naszego rozstania, ale już nic nie było w tobie takie jak wczoraj. Twoja dusza wreszcie właśnie dzisiejszego poranka zrozumiała konieczność twojego cierpienia i konieczność mojej śmierci, możesz więc już tylko przyglądać się światu i sobie wyłącznie poprzez nią. Na białych kartkach cienkiego zeszytu w kratkę, który zacząłeś czytać, niebieskie zdania tracą dla ciebie jakikolwiek sens. Ich ogień zgasł pozostawiając troszkę popiołu. Zrozumiałeś w końcu, że prawdę możesz znaleźć wyłącznie dzisiaj w swojej duszy, a nie na tych kartkach w kratkę, które chcesz, byś doczytał do końca. Wreszcie wsłuchałeś się w swoją głębię tracąc poczucie czasu i nie żałujesz, wreszcie nie żałujesz, że nie usłyszałeś już nic, absolutnie nic poza ciszą nieskończoną. Szukam twojej twarzy. Chcę w nią spojrzeć mądrością tego poranka. Dlaczego patrząc na mnie pozwalasz, by zza ciebie powoli wylądował się świat mojej młodości? Dlaczego każdy z widzianych obrazów mogę zatrzymać siłą swoich myśli, dlaczego mogę go również powtórzyć dowolną ilość razy, ale zupełnie nie wiem, co zatrzymać, a co obejrzeć ponownie. Milczysz, szepczę więc tylko cichutko: za dużo brzegów, kurwa, za dużo brzegów! Widzisz moje smutne oczy i mój wskazujący palec przyłożony do moich warg, twoja odchodząca postać kurczy się jakoś dziwnie, a ja słyszę tylko dźwięk cichutko zamykanych drzwi. Boże, jak to

boli, Boże, jak to boli. Idę po schodach, próbuję sobie przypomnieć wszystkie gorzkie słowa, które wypowiedziałam tamtego dnia, ale tamte chwile ukryłam mocno w delikatności duszy. Idę ulicami i zaczynam odczuwać strach przed wejściem do atelier Pana Boga. Tamtego dnia próbowałam płakać razem z tobą, próbowałam twoimi oczyma spojrzeć na twój świat, ale nie umiałam, wybacz, nie umiałam odczuć go tak jak ty. Ta przestrzeń, nieskończona przestrzeń twojego smutku uczyniły cię wtedy na chwilę lepszym od wszystkich ludzi, których znalazłam, i ode mnie samej. Skręcasz papierosa i dym staje się twoją własnością, a obiektywność traci jakikolwiek sens, obiektywność tak bardzo przeze mnie kiedyś pielęgnowana już nie dotrze za mną do brzegu. Lusnok, zawsze byłeś moim przewodnikiem, ale tym razem widzę tylko twoje oczy, przeraźliwie smutne oczy i czuję, jak wypełnia cię bezmiar niezrozumienia dla Boga i otaczającego cię świata. Wiem, że masz dość, dość na całe życie, bo więcej mieć już nie możesz. Nie chcę pozwolić, by porażający smutek napłynął cię całego i zaczął w tobie wyć. Wyciągam więc rękę, by pogłaskać choć przez chwilę twoją dłoń. Tak mi przykro, tak bardzo mi przykro, że twoja samotnia będzie już tylko twoją samotnią na jutro i na zawsze. Ostatni raz patrzę w twoje oczy i nie widzę w nich nic poza ogromnym strachem. Nie mogę tego znieść, więc zamykam po raz ostatni moje powieki, choć czuję smak twojego wskazującego palca na swoich wargach i słyszę wykrzywane zdania: Pokłoń się sobie i tańcz, tańcz, tańcz póki możesz, tańcz radośnie, tańcz tu teraz, tańcz. Widziałas cudowny most, widziałas przepiękne przesła, ale skoku nie uczyniłaś, nigdy, więc tańcz, tańcz i tańcz. Kroki, moje kroki, to tylko gra ze smutkiem moich wspomnień, a więc zamknij usta i mów. Widzę tylko zimę i odwieczną ciągłość nieobecną jak całe moje przyszłe życie. Szukaj prawdy, szalenie szukaj prawdy. Dobijam do brzegu pustą łodzią.

Muszę zacząć życie od nowa, muszę przekreślić całą swoją przeszłość. Czy będzie mnie na to stać? I znowu jestem sam. Przecież zawsze byłeś sam, przy Ennovi też czasami byłeś sam. A więc jednak o tym wiedziała. Nie, czuła to tylko, całą sobą czuła.

Książka ukaże się wiosną w niemieckim wydawnictwie Medu Verlag

Elżbieta Hurnikowa

O LISTACH HALINY
POŚWIATOWSKIEJ

Wiersze Haliny Poświatowskiej znane są wszystkim wielbicielem poezji, jej listy - z pewnością mniejszemu gronu czytelników. Grażyna Borkowska, autorka książki *Nierozważna i nieromantyczna. O Halinie Poświatowskiej*, listy pisane przez poetkę określiła jako „jeden z najciekawszych zbiorów epistolarnych w polskiej literaturze”¹. Korespondencja autorki *Hymnu bałwochwalczego* doczekała się obszernego wydania w roku 1998², ale niektóre listy były publikowane także w innych miejscach³.

List, będący od wieków podstawowym gatunkiem epistolografii, służył, według definicji słownikowej, nie tylko do przekazywania informacji, ale także do wyrażania w formie pisemnej przemyśleń i refleksji na różne tematy⁴. Epistolografia jako gałąź piśmiennictwa wzbogaciła dorobek literacki wielu pokoleń. Do historii literatury przeszły listy takich postaci jak: Petrarca, Diderot, Wolter, Kaf-

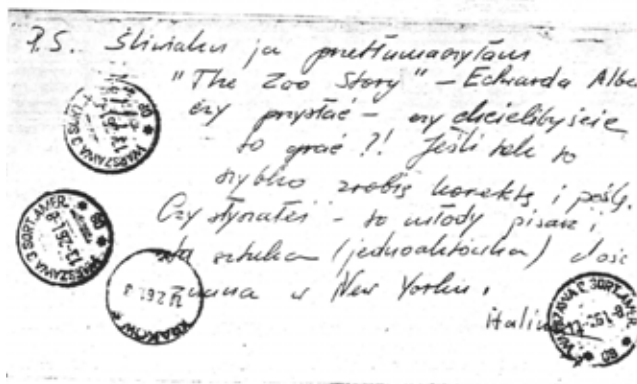
ka, Dostojewski i in. Także kobiety zasłynęły dzięki listom, by wspomnieć Madame de Staël, George Sand, czy Julie de Lespinasse. Korespondencja znanych pisarzy i artystów budzi zainteresowanie czytelników i staje się obiektem uwagi badaczy. Stanowi bowiem często dopełnienie sylwetki twórczej, wzbogaca portret artysty, poszerza wiedzę na temat kształtowania się warsztatu literackiego.

Halina Poświatowska, ze względu na chorobę serca i konieczność nieustannego leczenia, bywała często poza domem rodzinnym, poza kręgiem znajomych i przyjaciół. Życie wypełniały jej pobyty w szpitalach i sanatoriach, uniemożliwiające regularną naukę w szkole i zwykłą, powszednią egzystencję. Dla osoby walczącej o każdy niemal oddech listy stanowiły podstawowy środek porozumienia i kontaktu ze światem. Pisała je z różnych miast i krajów – z Krakowa, ze Spychowa, ze Stanów Zjednoczonych, gdzie dzięki staraniom Polonii amerykańskiej mogła poddać się operacji serca i gdzie podjęła naukę w Smith College w Northampton, z podróży do Jugosławii, Paryża i innych miejsc. Pisała do matki, do Ireneusza Morawskiego, adresata *Opowieści dla przyjaciela*, do profesora Juliana Aleksandrowicza, który opieko-

wał się młodszą pacjentką w III Klinice Chorób Wewnętrznych w Krakowie, do poetów i aktorów - Tadeusza Śliwiaka, Jana Niwińskiego, Jana Adamskiego, do przyjaciół w Polsce i w Ameryce. Niektóre listy zaopatrywała w żule lub dowcipne nagłówki. Do matki zwracała się: „Kochana”, „Moje Kochanie”, „Złoto”, „Kociątko Moje”, do Tadeusza Śliwiaka: „Złoty Śliwiaku”, „Śliwiaku Miły”, do Anny Orłowskiej: „Anni – Słoneczko!”.

Listy są ważnym źródłem wiedzy o losach poetki, o zmaganiach z chorobą, o jej osobowości;

odbijają się w nich emocje autorki *Ody do rąk*, zainteresowania i pasje, mocne odczucie tragizmu istnienia, a jednocześnie właściwe jej poczucie humoru. Korespondencja Poświatowskiej stanowi pod tym względem ważne uzupełnienie wydanej w roku 1967 autobiograficznej książki *Opowieść dla przyjaciela*⁵, obejmującej losy poetki do powrotu ze Stanów Zjednoczonych.



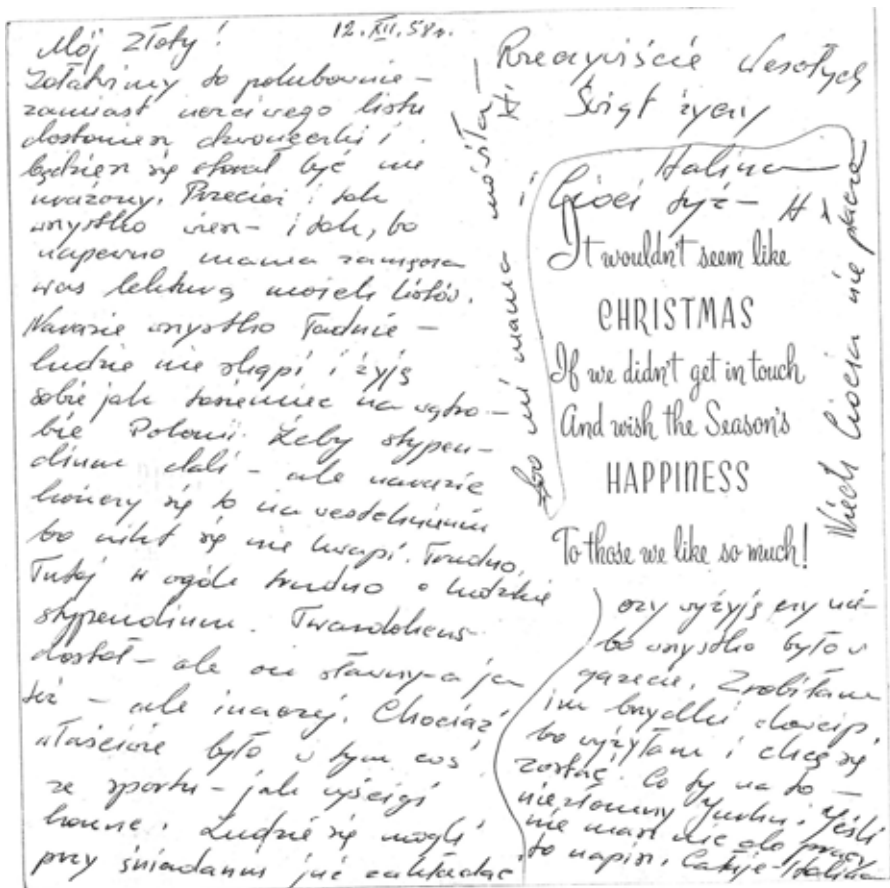
1 G. Borkowska, *Nierozważna i nieromantyczna. O Halinie Poświatowskiej*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2001, s. 7.

2 H. Poświatowska, *Listy*, (w:) *też*, *Dzieła*, t. 4., Wydawnictwo Literackie, Kraków 1998. Fragmenty listów cytuję według tego wydania, podając w nawiasie stronę.

3 Por. „Ja minę, ty miniesz...” *O Halinie Poświatowskiej* wspomnienia, listy, wiersze, zebrała i opracowała M. Przyzwan, wyd. drugie zmienione i poszerzone, Wyd. Domena, Warszawa 2000.

4 Por. M. Bernacki, M. Pawlus, *Słownik gatunków literackich*, wstęp S. Jaworski, Bielsko-Biała 2002, s. 115-117.

5 H. Poświatowska, *Opowieść dla przyjaciela*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1967.



Związłą charakterystykę życia Poświatowskiej do czasu pobytu w Ameryce podaje matka, Stanisława Mygowa w jednym z listów (do Ludmiły Waliszewskiej, 1959):

„(...) Chce Pani ode mnie Haški biografię, to jest szalenie łatwa sprawa. Szpital, szpital, sanatorium dla odmiany i znowu szpital. Warszawa, Kraków, Poznań i znowu Kraków, nie mówiąc już o takich pomniejszych, jak Rabka czy Polanica, szpital i oczywiście sanatorium też.

Dwa lata w całym życiu szkoła, to od 13-15 roku, 9-ta i 10-ta klasa do 11 trzy miesiące i potem jako eksternistka matura.

Wyszła za mąż (reżyser filmowy, poznany w sanatorium, więc siłą rzeczy chory, umiera po dwóch latach), a potem znowu szpitala aż do wyjazdu.

Pierwsze wiersze w „Życiu Literackim” w 1957 r. Tomik w 1958, a teraz Ameryka i narzeczcie zdrowa i może się uczyć, co robi z wielkim zapalem.”¹

Po powrocie do Polski w roku 1961 życie Haliny Poświatowskiej wypełniała nadal twórczość, studia, które rozpoczęła w Stanach, potem praca naukowa, a z biegiem czasu, gdy jej samopoczucie pogarszało się, dalsza walka z chorobą. Listy odzwiercie-

¹ Cyt. za: „Ja minę, ty miniesz...”..., s. 289.

6. XII. 1963.

Ani Kochanie

Me cypis dopo smatamini. Meyle
 zarysowa sy se wami bndic smocnie i wa-
 nylane pomoro: se wami, abo wami !!
 i wubawstanie sy opomnie, spis i spis i
 gubstuchnyj jak uoi wozu kije ... Wzrostnyj sy
 z wystawianu gubnyj bndicnyj (oy hi murec
 tyla gubnyj bndicnyj) i s porucianu opomnie
 wozuchnie (we wozuchnie tyla we dndicnie)
 i se wozu cypis, se jednie chom!
 Budyne jez tuchie, bndic wami - gubnyj
 wozuchnie dndic, ale wozuchnie, se wozu wozu
 bndic bndic, gubnyj wami wozu z wozuchnie
 na gubnyj i bndic wozuchnie wa I gubnyj
 gubnyj gubnyj i wozuchnie gubnyj
 dndic wozuchnie wa wozuchnie wozuchnie
 wozuchnie woi woi wozuchnie z gubnyj chom
 bndic i wozuchnie dndic wozuchnie gubnyj wozuchnie
 wozuchnie i se wozuchnie wozuchnie -
 gubnyj se jez tuchie.

dlaż te wszystkie etapy biografii i związane z nimi przeżycia. Nieuleczalna choroba i nieuchronny los naznaczyły całe życie Haliny. Jednocześnie poetka broniła się przed świadomością ciągłego niebezpieczeństwa najskuteczniejszą bronią - poczuciem humoru, czasem „czarnego”, który pozwala „oswajać” groźbę codzienności. W roku 1957 pisała, prawdopodobnie z krakowskiej kliniki, do Ireneusza Morawskiego: „W dodatku nie sposób narzekać. Jest mi lepiej niż chorej Marysi, niż temu kociakowi, co zdycha obok na białaczce, a ma piętnaście lat, niż wszystkim babkom, które po kolei odstawiają pod winę, żeby następnie przewieźć do nieba. Piękny środek lokomocji.” (s. 40).

Dystansowanie się do własnych doznań było koniecznością wtedy, gdy poetka miała do czynienia z sytuacjami ekstremalnymi, z przeżyciami

przekraczającymi niekiedy ludzką odporność. Po operacji w Hahne-mann Hospital w 1958 pisała do matki: „Na szczęście wyżyłam Ci. To było trudne, i jeszcze trudne – boli – wiesz. (...) W ogóle nie mówiłam Ci, a tu po tych operacjach mrą jak muchy. Dlaczego ja nie? Podejrzewam w tym ciemne machinacje losu.” (s. 105). Przygotowując się po dziewięciu latach do kolejnej operacji, zartowała w liście do matki pisany z szpitala w Krakowie (w czerwcu 1967): „Podobno bardzo ładnie kwalifikuje się na operację i zrobią mi ją chyba w sierpniu.” (s. 458). Operacja miała miejsce w październiku 1967 w Warszawie, poetka zmarła w kilka dni później.

Przebywając z konieczności w krótkich odstępach czasu w wielu miejscach, Poświatowska nie miała zapewne okazji przywiązać się głębiej do któregoś z nich, chociaż ciekawa była świata, z upodobaniem odkrywała piękno miast amerykańskich czy uroki Paryża – o ile dobrze się czuła. Jednocześnie nie patrzyła na ów „wielki” świat bezkrytycznie. Profesorowi Julianowi Aleksandrowiczowi zwierzała się w liście z Merchantville w 1958: „Wcale mi się tu tak bardzo nie podoba – naprawdę. Klimat jest zupełnie piekielny – chałupy w miastach ogromne – dzielnice murzyńskie Łódź przypominają i tak samo brudne” (s. 85).

Z polskich miast ważny był dla niej przede wszystkim Kraków, do którego tęskniła z Ameryki: „

(...) - kocham ten Kraków i już – ale to bardzo lokalna tęsknota – wcale nie taka za ojczyzną – tylko taka sobie, zwykła, za Krakowem.” (s. 84). Kiedy przebywała w Częstochowie, pisała o niej z niechęcią, np. w liście do Jana Niwińskiego wiosną 1956 roku: „Tak więc ponieważ od tygodni (coś 6) nie wychodzę na dwór – nie mam pojęcia, jak wygląda rodzinne miasto – ale to może lepiej - bo to jest bardzo ponure miasto (szczególnie w deszcz), no i ja na ulicy nie czuję się najlepiej.” (s. 8). Młoda, chorująca ciągle dziewczyna patrzyła na miasto rodzinne przez pryzmat choroby, ale po kilku latach, w roku 1966 w liście z Jugosławii do Jana Adamskiego znalazł się i taki zapis: „Wczoraj miałam napad nostalgii i opowiadałam Caroline przez pół dnia o tym, co się dzieje w Częstochowie na

e bardzo miłym skutkiem. Jak
 między z bzdurami, to postawiam na
 dostawcy Ci wszelkich najnowsz-
 mości, ale i Ty powinnaś być lepiej
 staro. Pożyci Ci kopertę, nie najnowsz-
 szyj piatek odpadnie, a z innymi
 jak lenistwo; brach chęci postawij
 się statycznie znowu i Zuzelku Kochany
 o tym, że nie lepiej w moim i opo-
 jui niem, więc postawij nie napisze
 eoi rozróżnienia, tematu napisano
 Ci nie zbrodni.

Mam ochotę Ci wysłać
 Halinę

P. S. Jak z pienszami i czy jęz
 dwo. H.

Drogi Jurek! 12-12-1966 .. VII.
 O tych nieregularnych kopertach doni-
 dnatalem nie już od Ciebie i w końcu
 już kilka dni temu miałem za-
 miar napisać do Ciebie, ale w między-
 czasie pogrzebowałem się na Twój temat,
 (już mi przeto) a ponieważ i Ty też
 nawiązałaś do słowa Romanin, więc i na
 Ciebie. O co, ale nie piszę, niu przeciw-
 jak wielu są w Tobie równie urocza
 braterskie, więc fakt, że chętnie tam trój-
 go brata za kark i wyciągam z
 hausho mógłby Ci znie humor,
 a co za tym idzie mógłbyś mi nie
 odpisać. Tego ostatniego jednak, lepiej
 nie robić, bo ja mam jeszcze jednego
 ananasa. Lutyńska, a Tobie trudno
 byłoby się postawić o drugie miasto
 czterech z tego prostego powodu, że
 Jurek i stania nie brach i nader.

podwórku i jak pięknie jest w Spychowie. Opatija
 ładna, tak, ale ja mam serce niewdzięczne i Polska
 będzie dla mnie najładniejsza." (s. 353).

Listy ukazują, jak poetka rozwijała się intelek-
 tualnie, są świadectwem jej dążenia do zdobywania
 wiedzy, głównie filozoficznej, ujawniają rozległą
 kulturę literacką. Pobyt w Stanach Zjednoczo-
 nych umożliwił i ułatwił Poświatowskiej dostęp
 do niektórych dzieł, np. do wierszy Miłosza, czy
 literatury anglojęzycznej w oryginale: „(...) siedzę
 z Milnem na kolanach, z Eliotem na kolanach (to
 modnie wspomnieć Eliota), z Faulknerem na kolanach.” (s. 95). Korespondencja pełna jest wzmianek
 o przeczytanych książkach i czasopismach, a także
 komentarzy na temat pisarzy i utworów: „Taki Ba-
 bel pisze wspaniale (...)” (s. 11), „Traktat o poezji
 Miłosza – istne чудо – chwilami aż straszy, taki
 nieludzko dobry (...)” (s. 84). Na temat przeczyta-

nych lektur poetka formułuje swoje własne, niezależne i oryginalne, często dowcipne sądy.

Poświatowska próbowała sił nie tylko w poezji,
 ale i w dramacie, w prozie, w reportażu. Janowi Ni-
 wińskiemu w styczniu 1957 zwierzała się z trudności
 związanych z tworzeniem sztuk dramatycznych (s. 15-
 16). Z listu do Caroline Karpiński z 1966 roku, do któ-
 rego załączyła opowiadanie *Niebieski ptak* o Jerzym
 Kosińskim, wiadomo, że planowała napisać więcej
 opowiadań. Nie zdążyła zrealizować wszystkich swo-
 ich planów, także ukończyć pracy doktorskiej.

Korespondencja Haliny Poświatowskiej jest
 jednakże przekonującym i pięknym świadectwem
 tego, jak heroicznie może człowiek walczyć z Lo-
 sem – o swój własny los.

Elżbieta Hurnikowa

Reprodukcje listów H. Poświatowskiej - Zbigniew Myga

Alicja Nowak**Pyrtek**

Byłeś pięknym
darem Boga
żywe srebro
o czarnych oczach
żyłeś radością
swojego istnienia
z odwagą nie mającą
świadomości
ufałam
Twojemu młodemu życiu
i mojej do Ciebie miłości
miłości
która miała Cię chronić

Pamięci Pauszy

Moja dusza
do Ciebie podobna
Ty kochałaś ognisko
i wędrowanie
zapach pól ziół
muzykę lasu wiatru
i taniec drzew
przeźreni i swoją
samotność w niej

żyję w innym miejscu
i czasie
w którym Ciebie
już nie ma
a tak wiele mam
z Tobą wspólnego
oczy i
tęsknotę w wierszach
miłość do muzyki poezji
i uwielbienie korali
poezji Twojej
składam hołd

Alicja Nowak



Alicja Nowak**Babcia Józia**

*Pamięci
Pani Józefy Piaseckiej*

Ostatnia być może babcia, która o zmroku zapalała naftową lampę.
Adres: ulica Łąkowa 3. Ciekawe, bo tam nie było ulicy, tylko łąki,
odgrozione od wsi i drogi rzeką.

W czasie powodzi woda zalewała cały teren, pozostawiając dom
na małej wyspie. Babcia Józia żyła na tym pustkowiu bez wygód
i pretensji do losu. Ze szczególną troską dbała o swój dom. Wnętrze
stroiła w makatki i wyszywane serwety. Było czysto, schludnie,
pachniało grzybami i szczapami w koszu stojącym pod piecem.
Lalki ubrane w suknie specjalnie szyte przez babcię były jej dumą
i ozdobą pokoju.

Pewnego dnia przyleciał na łąki wściekły wiatr. Zerwał dach,
zawalił dom, płot, stodołę, rozniósł rzeczy, lalce wyrwał nogę,
zgasił lampę babci Józii. Zburzył jej życie i odebrał, co chciał.
Resztę zabrali ludzie, a wiatr chichotał bawiąc się porozrzucanymi
rzeczami i puchem z pierzyny.

I poszła babcia pieszo na wygnanie pod cudzy dach. Ludzie
oddali jej lalkę bez nogi. To wszystko, co los ocalił dla niej.
Za mało, żeby żyć, bo jak, skoro wiatr w miejscu, gdzie żyła,
zgasił słońce, które w dzień jej pogrzebu świeciło, ale już nie dla niej.

w Skrzydłowie w 2007 r.

Alicja Nowak – rodowita częstochowianka. Całe życie związana z miastem, w swojej twórczości plastycznej i literackiej afirmuje Starą Częstochowę. Legitymuje się przynależnością do klubów literackich: „Złota Jesień” przy OPK Gaude Mater, „Metafora” przy Oddz. Częstochowskim ZNP oraz „Fraszka” przy UTW. Wiersze i obrazy prezentuje na spotkaniach autorskich i wernisażach malarstwa.

LISTOPAD



Fot. Leszek Pilichowski



Adam Królikowski CZĘSTOCHWAŁ I JULIETTE

Gdy 12 września bieżącego roku zajrzałem do redakcji A3, w rozmowie z Redaktorem – dość przypadkowo – poruszyliśmy temat protoplasty naszego miasta, Czestocha, w kontekście aktualnie rozważanej idei jego „zlawieczkowania”. Trzy dni później wysłałem jeszcze Redaktorowi e-mail wyjaśniający mój punkt widzenia na pochodzenie owego Protoplasty, ale wszystko to było ledwie pomysłem prywatnym, tylko napomknięciem. Temat ten jednak zaczął mnie uparcie męczyć. Jakiś tydzień potem miejscowy genius loci podziałal na mnie na tyle, że powstał niniejszy tekst. W połowie października natomiast, widząc, iż sprawa jest nie powszechna, a także godna poddania pod szerszą dyskusję, Redaktor zachęcił mnie, by ten tekst opublikować. Tak więc, decydując się na jego publikację, muszę jednak zaznaczyć, że nie są to już pełne, końcowe wyniki rozważań, a tylko wstępna – jedna z wielu zapewne – propozycja rekonstrukcji legendarnej postaci Czestocha. Jako autor proszę więc raczej o jej krytykę, niż nagłą aprobatę, ale przede wszystkim o rodzaj dysputy, która pozwoli właściwie wyważyć różnice zdań.

Nazwę Czestochowy słusznie wywodzi się od Czestocha, średniowieczna osada w tym miejscu zwana była bowiem „Czestochową wsią”. Lecz skąd pochodzi i co w takim razie oznacza imię Czestoch? Początkowo zresztą nie było to imię, lecz tylko przydomek, przezwisko. Prawdziwe imię Czestocha nie jest więc nam znane. W średniowieczu, gdy pisownia imion polskich nie była jeszcze ustalona, zapisywano je na różne sposoby: Czestoch, Czesthoch, Czastoch, Czastoch, Czastoch, Czastoch, Czasthoch, Czasthoch, Czasthoch, Czasthoch, Czasthoch, a nawet – z anglosaską – Czostoch. Nie tylko więc, że nie znamy prawdziwego imienia Czestocha, ale i sam ów jego przydomek jest dla nas bardzo niejasny. Nie wiadomo bowiem dokładnie, skąd się wziął. Drogę wywiedzenia jego etymologii może być co najmniej kilka. Na przykład od słowa „część”: wtedy Czestoch byłby kimś szczególnie szanowanym, czczonym, nobilnym – choć moim zdaniem od „czci” pochodzą inne imiona, takie jak Czech, Czesław, itp. Bądź też od słowa „część”: wówczas Czestoch byłby czegoś „częstnikiem”, lub „częstnikiem”, czyli współudziałowcem, uczestnikiem, zwłaszcza zaś spadkobiercą jakiegoś działu czy majątku – i tu jednak uważam, że skoro mamy określenie „częstnik”, to „częstoch” musi w takim razie znaczyć co innego. Na mój zatem językoznawczy węch, o wiele bardziej inspirujący źródełków tego przezwiska mógłby być trojaki:

1) Czestoch wywodzi się więc może – etymologicznie tylko rzecz jasna, nie genealogicznie – od Czestosa. Forma „Czestoch” byłaby więc odeń zgrubieniem, „Czestosz” formą podstawową, zdrobnieniem zaś notabene – „Czestoszek”. Sytuacja jest tu zupełnie analogiczna, jak w przypadku Dobrosz – Dobroch – Dobroszek. Ale co w takim razie owo

„Czestosz” znaczy? Moim zdaniem, imiona czy nazwy zakończone przyrostkiem -osz podkreślają zawsze jakąś dominującą cechę istoty, osoby bądź zwierzęcia, np. wspomniany „dobrosz” to ten, kto cieszy się dobrą sławą, „smakosz” to ten, kto wybiera po smaku z różnych potraw, a „gniadosz” to koń maści gniadej. Tak też i „Czestosz” to ten... No właśnie, jaką cechę główną mógłże on posiadać? Otóż, wydaje się, że składnik „częst-” pochodzi od słowa „częstować”, czyli brać swą część, jadła przede wszystkim, zatem współbiesiadować. „Czestosz” to ten, kto bierze swoją część jadła, współbiesiadnik. „Czestoch” w takim razie – która to forma jest zgrubieniem – wskazywałoby więc na tego, kto albo bierze zwykle największą część, bądź to najlepszą, albo też po prostu sięga po nią zbyt często. W każdym z tych przypadków byłyby to zatem typ łapczywa, obżartucha, choć niekoniecznie przy tym grubasa.

2) Ale równie dobrze, tyle że już bardziej nietykalnie, można wywodzić Czestocha od Czestochwała. Skądże jednak wziął się Czestochwał? Wpadłem na to imię, a raczej także przydomek, jeszcze większym przypadkiem – mianowicie z samym początkiem sierpnia 2007 roku, analizując około dwie setki imion staropolskich. Okazało się, że wśród nich jest kilka imion zaczynających się na „częst-” (np. Czestor, Czestobor, Czestosław, Czestomierz, Czestogniew, Czestowoj), a przy tym bodaj jedno tylko zamykające się na „chwwał”, tj. Boguchwał, ewentualnie z formą żeńską Boguchwała. Otóż, jeśli Czestoch nie wywodzi się od Czestocha, to końcowe „-ch” wskazywałoby właśnie na pierwotną obecność tego drugiego członu: „-chwwał”. Byłby więc w takim razie „Czestoch” nie zgrubieniem, lecz skrótem. Oczywiście, znaczenie przezwiska Czestochwał musiałoby być następujące: ten, kto się często chwali – się, bowiem gdyby często chwalił Boga, to byłby rzeczony Boguchwał. Mamy więc drugie wyjaśnienie. Pozostaje jeszcze tylko osobno zbadać atestację przydomka Czestochwał – być może gdzieś w źródłach historycznych pojawia się to imię w tej właśnie pełnej formie? Lecz jeśli mimo to w źródłach go nie znajdziemy, nie oznacza to jeszcze bynajmniej, że wcale go nie było. Mogło być ono bowiem po prostu tak dawne, tak stare, że nie zdążyło go w tej dłuższej postaci zanotować, zanim wyszła ona z użycia. Wydaje mi się zresztą, iż przydomek Czestochwał był raczej dość rzadki – i może właśnie dlatego nie stał się on imieniem.

3) Można wreszcie również przyjąć koncepcję pośrednią, tj. wywieść Czestocha zarówno od Czestosa, jak też i Czestochwała. Ale jak to możliwe? Mianowicie – wychodząc już jednak poza obręb językoznawstwa w stronę historiolingwistyki – możemy uczynić pewien rekonesans, mający na celu wyjaśnienie tej nazwy poprzez zobrazowanie całego zagadnienia. Nic nie stoi przecież na przeszkodzie, żeby Czestochwał był zarazem czestochcem, czyli łapczywym, obżartuchem. Obie te cechy mogły w nim się zbiec – przy czym czestochwalstwo wydaje mi się jednak w tym przypadku pierwotniejsze. Wyobraźmy sobie zatem taką „historyczną” sytuację, że Czestochwał często zagłada do okolicznej karczmy, gdzie jest znanym powszechnie stortellerem, tj. gawędziarzem, bajarzem i z tej właśnie racji, iż jest tam wielce lubiany a jego opowieści cieszą się zawsze dużym

wzięciem, nie brakuje mu nigdy w owej karczmie jada i dzbana piwa. Wszyscy zwracają się też do niego skrótem: Częstoch, lecz że stale wynagradzają jego opowieści częstunkiem, nikt już z obecnych nie wie – czy on Częstoch, że je czy że baje.

A teraz zobrazujmy tę sytuację już całkiem historycznie. Wiadomo, że osada zwana Częstochową powstała pierwotnie w miejscu Starego Rynku, tuż za brodem na Warcie, a jedną z pierwszych budowli tam wzniesionych, była – wówczas jeszcze drewniana – stara karczma. Częstoch nie mógł być jej właścicielem, choćby ze wskazanych właśnie podstaw lingwistycznych. Lecz z pewnością był jej stałym bywalcem. Kimże więc on był? Tego dokładnie nie wiemy. Czy był rycerzem, czy chłopem, czy może pomocnikiem karczmarza? Czy gdzieś obok karczmy – na rynku Starego Miasta – wznosił się jego dom? Nic nie wiemy na pewno. Ale są jednak pewne przypuszczenia. Spójrzmy na sprawę tak: Częstochwał to był największy gawędziarz w okolicy – nikt z nim się nie mógł równać, a jego fascynujące, nieprawdopodobne opowieści, sławą były zdolne przekraczać nie tylko nasz region, ale i czas. Spróbujmy więc zatem właśnie w mitologii naszego regionu, w jego „tkance mitologicznej”, czyli przekazywanych ustnie z pokolenia na pokolenie baśniach i legendach, poszukać owej zagadkowej postaci największego ze wszystkich, anonimowego okolicznego gawędziarza. Jeśli znajdziemy takiego opowiadacza, to znajdziemy tym samym Częstocha.

Z mojego wstępnie dokonanego przeglądu wynika, że co najmniej w jednej z miejscowych pradawnych opowieści pojawia się ów gawędziarz na miarę naszego Częstochwała. Chodzi o legendę o zbroju Madeju. Był to zbój jakich mało – słynny na całą Polskę – który rabował podróżnych w lasach między Lublinem a Częstochową. W podaniu tym – przynajmniej w wersji zachowanej w naszym regionie – występuje prócz niego pewien Młodzieniec, syn furmana, a więc bogatego chłopa, którego ojciec nieopatrznie jednak zaprzędał jego duszę diabłu. Gdy chłopak dorósł i dowiedział się, że jego dusza została zapisana w cyrografie, postanowił udać się do piekła i choćby siłą wydrzeć diabłowi ów dokument. Użył jednak nie siły, lecz podstęp. Udał się do piekła, chcąc rzekomo sprawdzić autentyczność podpisu, w kulminacyjnej chwili rzucił przed czarty „zaklętą gałązkę cudownego krzewu” i zabrawszy cyrograf uciekł. Wracając do domu ponownie spotkał Madeja, któremu tak sugestywnie opisał przygotowane w piekle dla niego „Madejowe łoże”, że przerażony zbój porzucił swój fach i wstąpił na prawą drogę. Młodzieniec ten – zauważmy więc – szedł do bram piekielnych od Częstochowy w stronę Lublina (gdzież w takim razie,

notabene, znajdować się mogło owo sławetne wejście do piekieł?). Ale zwróćmy przede wszystkim uwagę na dwa w tej opowieści ważne dla nas fakty: jakie niesamowite historie „przeżył” ów Młodzieniec (był przecież w samym piekle!) i jak niezwykle potrafił je opowiadać (nawrócił przecież nimi samego zbroja Madeja!). Niezależnie od tego więc, jakie imię nosił ten Młodzieniec, on to właśnie mógł być tymże słynnym bajazerem – poszukiwanym przez nas Częstochwałem.



Fot. Leszek Pilichowski

CZĘSTOCH

Pozostaje jeszcze pokusić się o bliższe umiejscowienie naszego Częstochoa w czasie. Jeśli oprzemy się na wskazanej legendzie o Młodzieńcu i Madeju, to przy pobieżnej choćby jej analizie stwierdzimy, że tylko w części i powierzchownie raczej jest ona w treści „chrześcijańska”. Innymi słowy, czasy Częstochoa i Madeja to okres niepełnej jeszcze chrystianizacji tych okolic – czas przesądów, na polu wciąż pogański. Nie było wtedy jeszcze Częstochówki, ani choćby idei założenia klasztoru. We wskazanej legendzie mamy za to: demony po lasach i bagnach, dobrą wróżkę, która daje Młodzieńcowi cudowną gałązkę, a przede wszystkim ową bramę do piekieł, znajdującą się zatem gdzieś w pobliżu, na ziemi, w wiadomym, choć przy tym nieuczczonym miejscu. Żyją tu jeszcze mity przedchrześcijańskie, antyczne. Choćby owa cudowna gałązka – to nic innego jak słynne „magiczne ziele”, po grecku zwane moly, to samo, które Hermes wręczył Odyszeuszowi, by go uchronić przed czarem Kirke (Odyszeja, X, 283-316). Ma więc i Częstoch poniekąd pewne cechy mitycznego bohatera Odysa. Z kolei zaś jego zejście do piekła (katabaza) łączy się ponadto z mitem innego bohatera greckiego – Orfeusza. Ale też

zarazem z tradycją chrześcijańską, Chrystus bowiem również przed zmartwychwstaniem zstąpił do piekieł, by odkupić stamtąd dusze potępionych. Podobne podróże bohaterów w zaświaty stały się ponownie – po antyku – modne w literaturze europejskiej od drugiej połowy XII wieku. Zwieńczeniem tych opisów jest oczywiście „Boska Komedia” Dantego.

Mamy zatem pierwszą z przybliżonych dat hipotetycznego okresu życia Częstochoa. Należy ją jednak przesunąć jeszcze wcześniej. Mianowicie, najstarsza zachowana wzmianka o istnieniu imienia Częstoch pochodzi z gnieźnieńskiej Bulli protekcyjnej datowanej na rok 1136, w której imię to – w łacińskiej wersji – zapisano jako „Chestoch”. Jeśli okazałoby się, że w źródłach nie posiadamy nigdzie zachowanej formy „Częstochwał”, znaczyliby to wówczas, że – jak wspomnieliśmy też wcześniej – forma ta mogła wyjść już z użycia zanim pojawił się „Chestoch”. Lecz aby proces ten zaszedł, musiało z kolei upłynąć co najmniej kilkadziesiąt lat. Jesteśmy już zatem gdzieś w XI stuleciu. Umiejscowienie Częstochoa w tym właśnie wieku dobrze zbiega się ze wspomnianą połowiczną „chrystianizacją” najprawdopodobniej dotyczących go legend. Nie ulega wątpliwości, że legendy te powstawały w czasach kształtowania się dopiero państwowości polskiej. Czyżby więc Częstochwał żył na początku XI wieku? W symboliczny sposób możemy przyjąć ową datę, że obchodzimy właśnie tysiąclecie Częstochowych urodzin. Nic tu jednak bardziej precyzyjnie ustalić niepodobna. Zakładamy tylko tyle, że znamy jego przydomek, stąd być może główną cechę jego charakteru, stąd być może opowieści, które rozgłaszał, a z nich jego pochodzenie społeczne, przez co możemy – w połączeniu z hipotetycznie wyznaczonym tu okresem życia Częstochoa – zrekonstruować co najwyżej jego ubiór. Fizjonomia naszego bohatera, postura fizyczna, jego rysy twarzy, fryzura, czy spojzenie, pozostają już zatem wyłącznie domeną wyobraźni artystów.

Nie wstydzmy się jednak bynajmniej Częstochwał – nie jest to zwykły Częstoch, ani samochwał, ani obzartuch. Upamiętnijmy go więc w miejscu, gdzie chadzał. Niech stanie znów na Starym Rynku, przy drodze naprzeciw karczmie, witając przekraczających bród, a dziś most na Warcie, podróżnych. Zaś obok na rynku ustawmy słynne na cały kraj Madejowe łóże, z przechemym diabełkiem zachęcającym sławnego zbroja, by się na nim położył. Oczywiście Madeja niech będą strachem wybaluszone, zastęgiło w nich bowiem jego – po raz pierwszy w życiu – wielkie przerażenie. Niech wszystkich to straszne łóże o czymś pouczy. Byłaby to nie tylko powszechnie rozpoznawalna atrakcja naszego miasta, ale i przestroga dla złoczyńców. Lecz nie stawiajmy im już ławeczek! Jedyną jeszcze ławeczkę postawmy Redaktorowi naszego jedynego w mieście kulturalnego czasopisma, by miał on wreszcie na czym w swej redakcji przyjmować gości, jak wiadomo skądinąd, nie mniej zacnych od tych zaglądających do miejskiego ratusza. Zwłaszcza – i tu pora wyjaśnić tytułową partnerkę naszego Protoplasty – jeśli na wywiad i ławeczkę do redakcji A3 mamy zamiar zaprosić Juliette Binoche.

Adam Królikowski

Od Redaktora: Poważnie? Ło matko!



Fot. Leszek Pilichowski

ZNOWU JESIEŃ

Zbislaw Janikowski

Rzeczywiście lato minęło, letnie ciepłko razem z nim, dzionki skurczyły się do kieszonkowego wymiaru, zniknęły też ogrodowe poziomki i jasne spodnie, o których swego czasu śpiewał Andrzej Bogucki. Co mamy w zamian? Jesień, też urokliwą, też (jeżeli się chce) atrakcyjną, szczególnie, gdy wróci się do minionych, szczenięcych lat...

Częstochowa do lat sześćdziesiątych była miastem ogrodów cichych, często nawet niewybrukowanych uliczek, niemal wiejskich, luźno powiązanych w miejscą całość przysiółków. Tuż za zwartą zabudową śródmieścia zaczynało się ciągnąć się aż po okoliczne wieś przedmieście. Część miasta opierała się o Wartę, inna o Kucelinę, jeszcze inna o Stradomkę i ich starorzeczka, sięgała lasków, jak na Mirowie lub pod Białą (lasek ten zyskał kiedyś miano „na końcu świata”, nadane mu przez pierwszych zmotoryzowanych, którzy bywali tam wieczorami), wreszcie o nasze lokalne morza Bałtyk i Adriatyk, inne gliniarki i stawy.

W tym zielonym spokojnym, świecie rytm wyznaczały pory roku, a z nimi wiązały się określone ściśle przestrzegane rygory. U nas nie mogło być inaczej. Tuż obok naszej kamienicy był wielki ogród, wiosennie-letnie królestwo mojej mamy, półko uprawne, na którym rosły warzywa, pomidory, ogórki, kwitły przēróżne kwiatki, dojrzewały owoce. Jesienią ja przejmowałem niemal absolutną władzę nad ogrodem. Wraz ze zgrają kolegów uganiał się już nie tylko po ścieżkach i alejkach, palili ogniska, na które zwlóczyliśmy z najodleglejszych zakątków suche gałęzie, przekwitłe kwiaty, słonecznikowe łodygi, grabiliśmy nawet (niech nikt nie myśli, że bezinteresownie) opadłe liście, bo te w ognisku dawały najwięcej najwspanialszego dymu. Dym dymem, dusił, zatykał, wyciskał łzy, ale w pewnym momencie ustępował, ognisko strzelało w górę wysokimi plomieniami, rozgrzane długim kijem sypało ciemnoczerwone iskry, które prąd rozgrzanego powietrza porywał wysoko w górę. Najpiękniejsze i najwspanialsze było w zapadającym szybko zmroku. My siedzieliśmy w kukli delektując się na wpół upieczonymi kartofflami (a nie ziemniakami) lub nadzianą na patyk kromką chleba albo połówką zwykłej kupionej w sklepiu u pana Niemczka bułki. Rozczani w przygodach dzielnego Winnetou, wzorem czerwonoskórych paliliśmy fajkę pokoju, a ściślej - to z braku prawdziwej fajki - słonecznikowe łodygi. To był wynalazek: z suchej słonecznikowej łodygi wyskubywało się białą wypełniającą ją watę, koniec rozżarzało w ognisku, po czym dostojnie pykało i podawał kucającemu obok kolede. Każdy z nas po „sztachnięciu” się tym wonnym dymem był co najmniej przez kilka minut nieźle oszołomiony, o łzach w oczach i suchotniczym niemalże kaszlu nie wspominając. Indianiński rytuał przy

ognisku i niedopieczono ziemniaki kończyły dzień, ale wcześniej miały miejsce indiańskie harce, podchody, napady, łapanie na lasso, przywiązywanie do pala (czytaj - jednogłowego rachitycznego jasionu, który w latach świetności był ozdobą ogrodu i nieistniejącego już klombu), czy wreszcie torturowanie w celu... Jaki to był cel, dziś już też nie pamiętam.

Płonące ognisko wiązało indiańską tradycję z naszą swojską, góralsko-nizinną albo zbójnicko-swiętojańską. Buzujący wysokim płomieniem ogień dopinogował do skoków przez strzelające w górę płomienie. Wystarczyło wziąć odpowiedni rozbieg po prostej wymierzonej w najwyższe płomienie, podbiec i skoczyć. Technika była dowolna, długość rozbiegu też, ale skoki bokiem lub po stycznej dyskwalifikowały zawodnika, przepaszam, wojownika. Złe wymierzony rozbieg powodował albo odbicie, albo lądowanie w zarze ogniska, na czym cierpiały bardzo płócienne trampy lub tenisówki, a w przypadku sandałów stopy wojownika. Mniej zrzucając się w oczy dolegliwością, (ale tylko do chwili powrotu do domu) byli opalone brwi i rzęsy, o samej czuprynie nawet wspominać nie warto. Śmiałkowicie podejmujący ryzyko wypracowywali indywidualne techniki skoku, najprostszą, z zamkniętymi oczami, najczęściej prowadziła w środek ognia, bardziej skomplikowana wymagała zatkania nosa, ale jak tu precyzyjnie biegać zaciskając rękę nos... Nawet osłanianie głowy koszulą nie pomagało, nie było nic widać ani czym oddychać. To, że obśmędziły się portki, że zetlała koszula, a ze skarpetek, długich podkolanek, robimy się krótkie gamurówki, było w gruncie rzeczy mało ważne. Zabawa w Indian była udana i już.

W ogrodzie rosła też rachityczna jabłonka, wydająca niemniej rachityczna owoce o niezapomnianym i niepowtarzalnym smaku. Kto wie, czy jednym z podstawowych elementów smakowych nie były mieszkające w małych jabłuszkach ogromne robale. Należało bardzo uważać, żeby nie nadgrzyźć takiego stwora, bo jego zachowanie nie należało wtedy do dystygowanych, wierzilo się to, podrygiwało, wykonywało jakieś konwulsyjne ruchy, słowem zachowywało się nieapetycznie. Czasami taki robal na nasz widok opuszczał jabłko i na cieniutkiej niteczce spuszczał się do ziemi, a my, złośliwcy, przerywaliśmy tę jego asekuracyjną linę - bolesny musiał być upadek z kilkumetrowej wysokości. Doświadczylem kiedyś podobnego, choć w nieco innej skali, gdy zła mała się pode mną czeresniową gałąź, nawet rosnący poniżej krzak agrestu nie złagodził upadku a już szczeniędo bół.

Uwędzony ogniskowym dymem z niewyraźnymi resztkami brwi i rzęs, osmalonymi włosami i na dodatek z nieodrobionymi lekcyjami, już przy kolacji zapadałem w sen, a tu jeszcze należało się umyć, odrobienie lekcji pozostawiając na rano. I rzeczywiście konsekwencja mamy był zadziwiająca, budziła wczesniej, kazała siadać i pisać albo dodawać „słupki” a nawet uczęć się jakiegoś wiersza.

Uroczę były jesienne parki i wędrowki po nich... Lecz w błędzie jest ten, kto sądzi, że chodziło się tam dla podziwiania widoków, ferii jesiennych barw,

SENTYMENTY

nostalgicznych nastrojów. Do parku chodziło się po kasztany i żołądzie, liście do szkolnych zielników. Coś takiego też robiliśmy w szkole, ale zdobyta przyrodnicza wiedza dziwnie szybko wyparowała, a z liści rozpoznałbym teraz zaledwie kilka, na pewno dąb i klon, i oczywiście kasztanowiec.

Kasztany, ile ich w życiu zebrałem nie zliczę, pewnie uskladały się tona z dużym hakiem. Zbierałem je zawsze i wszędzie, w drodze do i ze szkoły, w parkach i na ulicach, na kościelnym placu u św. Jakuba i w dawnych koszarach Zawady. Najlepszy był wietrzny, dżdżysty, ponury dzień. Zbieraczy było niewiele, a wśród powodzi leżących na ziemi liści walały się lśniące brunatne klejnoty. Przyniesione do domu trafiały do wielkiego tekturowego pudła, wciśniętego w kącie za szafą. Pudło pęczniało z każdym dniem kasztanowego sezonu. Kulminacja następowała wtedy, gdy z pudła zaczynał się wydobywać niemiły zapach stęchliny a kontrola ujawniała tumany szarego pyłu powstałego z zarodników pleśni. Cóż było wtedy robić, tasczyłem cały majdan do kuchni i tam paliłem je w kuchennym piecu. Dawało to nadszpedzanie pozytywne efekty, buzujący ogień rozgrzewał blachy pieca do czerwoności, wielki aluminiowy czajnik z wodą aż podskakiwał, bojler na wodę w łazience połączony systemem rur z kuchennym

piecem, wypełniał się przyjemną w użyciu ciepłą wodą, wreszcie każdy wrzucony w ogień kasztan to mała eksplozja, jakże miła uszom (przynajmniej mojemu entuzjazmu nie podzielał ojciec, zaliczający w tym czasie poobiednią drzemkę). Koniec kanonady to zarazem koniec kasztanowego skarbu, coś było robić, trzeba było powtarzać całą operację, zbierać od nowa. Ojciec, widząc to marnotrawstwo, zachęcał mnie do produkowania kasztanowego kleju, za przykład dawał krakowskie oszczędne i zapobiegliwe „paniusie”, które na krakowskich Plantach zbierały w tym celu kasztany. (Planty - jakie to było mityczne określenie – nigdy tam nie byłem i nie widziałem, to jak mogłem je sobie wyobrazić?). Te leciwie i dystyngowane „paniusie” walczyły z chłopakami o spadające kasztany, o strategiczny klejowy surowiec, walczyły nie przebierając w środkach. Pozycje bojowe zajmowały jeszcze przed świtem, bo sen miały lekki, zbrojne w parasolki i laski, nie ograniczały się do obrony – atakowały, a brunatne kulki szybko wypełniały ich koszyczki. Mimo tych dobrych i zachęcających rad ojca, na produkcję kleju nie zdecydowałem się, chodził mi za to po głowie genialny wprost projekt – eksportu kasztanów do Krakowa, niestety nie dysponowałem odpowiednim transportem. Do dziś przesładuje mnie koszmarne wyobrażenie nie-



Arkadiusz Zajac

zliczonej ilości słoików wypełnionych kasztanowym klejem, pokrytym szaroniebieską (tak jak i kasztany w moim pudle) pleśnią.

Innym, już szkolnym kasztanowym obowiązkiem, były jesienne lekcje z prac ręcznych, na których wykonywaliśmy z kasztanów przeróżne stwory. Na kasztanowe zwierzaki wybierało się kasztany odpowiedniej wielkości i kształtu (na krowę najlepsze były kasztany łaciaste, jeszcze niedojrzałe – a te należał strącić z drzewa), na ludzików też każdy kasztan musiał być inny; bardzo przydatny w takich sytuacjach był jeszcze szczyryk, można nim było wywiercić oczka, naciąć usta, a nawet zaznaczyć włosy. Nie była to rozsądna zabawa, bo jak każdy wie, potrzebne były jeszcze zapalki, a zapalki w rękach dziecka – jak powszechnie wiadomo – to pożar. Trudniejsza była obróbka żołędzi, a czasami Pani wy magała, by naszego ludzika ubrać w czapkę, no raczej w żołędziowy berecik.

Gdy już wszystkie zeszyty i książki obłożone były szarym papierem, a na nich naklejone i podpisane naklejki, gdy zeszyty nie były jeszcze pokreślone na czerwono przez nauczycieli, gdy czuło się powakacyjny luz, gdy nie chciało się odrabiać lekcji, gdy na dworze robiło się chłodno, a wieczory stawały się coraz dłuższe, (pamiętajmy, telewizja jeszcze nie zaistniała) trzeba było wynaleźć jakiś zajęcie. Najlepsza była domowa kuchnia.

W jesiennej maminej kuchni działo się niemało, niczym w fabryce trwała produkcja domowych przetworów, na kuchennej blasze w wielkiej mosiężnej patelni (która teraz wisí jako element dekoracyjny w mojej kuchni), smażyły się na przemian borówki z powidłami, by z kolei ustąpić miejsca wspaniałym gruszkom w occie, a potem konfiturze z rajskich jabłuszek i czemuś tam jeszcze. Przygotowania do tego procesu były niezwykle skomplikowane, najpierw cukier z małą ilością wody należało „zeszklíč”, potem zanurzano w tej gorącej masie owoce, stałe mieszając, wszystko pyrkotało, kipiało, przypalało się, w międzyczasie mama szumowała białą pianę zbierając się na powierzchni, wreszcie po kilku godzinach wekowała, czyli zamykała w słojach typu „wecka” i jeszcze w specjalnym kotle gotowała, żeby toto się zamknęło trwale, skutecznie i hermetycznie. Jakość i smak oceniano się w zimie, ale zawsze przy produkcji coś wylasowałem, cos podkradłem, czegoś poprobowałem. Najbardziej lubiłem marnowanie grzybów, już czyszczenie i mycie było świetną zabawą a co dopiero mówić o myciu, gotowaniu, wycedzaniu. Z zapalem pomagałem, mieszałem pilnowałem, żeby nie przywarły do dna, a gdy nikt nie widział wyjadałem. Stały potem do następnego dnia na durszaku dając kolejną okazję do wyjadania. Nielegalna uczta kończyła się w chwili zalania octem i zamknięcia w słojach. Do dziś czuję ostry, swidrujący w nosie, zapach octu zaprawionego pieprzem, zielem angielskim i czymś tam jeszcze. Zamknięte w słoju grzybki obciążone były celofanem, jak to się działo, nie pamiętam, ale celofan po wyschnięciu napięty był niczym bęben, sprawdziłem to kilka razy i nawet by się nie wydało, tylko że czasami napięte przykrycie pękało, co było przyczyną krótkiej burzy i przyspieszonego procesu konsumpcji – pycha! Mieszkanie w czasie tej wielkiej akcji przesycone było zapachami, już na

parterze, często nawet w bramie, można było zorientować się, co aktualnie jest przyrządzane. Właściwy smak oceniano się jednak w zimie, wcześniej stało to w spizarni i czekało na wyrok, otwarcie. Po co dziesiątki słoików z konfiturami, kompotami, przecierami i marynatami, po co beczki czy gary kiszzonej kapusty i ogórow? Przemysłowe przetwórstwo u nas praktycznie nie istniało, a w Chinach tym bardziej.

Jesienna pora to również zakupy innego zimowego zaopatrzenia. Do piwnicy trafiła kilka worków ziemniaków, co najmniej fura węgla, a wielka skrzynia wypełniona piaskiem służyła do przechowywania marchwi, pietruszki i buraków. Dziwne dla współczesnych, ale wtedy nikt nie postępował inaczej, a w sklepach zimą takich artykułów praktycznie prawie nie było, a jeżeli już, to bardzo drogie. I oczywiście kiszona kapusta, nie wiem skąd, ale zjawiała się szatkownica i kilkadziesiąt kapuścianych głów. Kto i jak szatkował, nie wiem, bo przed tymi czynnościami wyganiał mnie z kuchni, mało, drażnili się ze mną, że będę deptał, bo tylko ja zmieszczę się do wielkiego kamiennego gara. Niedoczekanie! Nigdy tak pilnie i tak długo nie czytałem książek, nawet nieubliwanych lektur.

Gdy już piwnica i spizarnia pełne były zimowego zaopatrzenia, gdy pozostawało tylko zjedanie smakowitych zapasów, zniemacka przychodziła późnojesienna burza, burza, która mąciła spokój oczekiwania wielkiego święta prezentów, 6 grudnia - świętego Mikołaja. Katakлизm zwał się w dniu zamknięcia pierwszego szkolnego okresu rozliczeniowego, który przypadał na połowę listopada i związanej z tym wywiadów. Okazywało się wtedy, że luz szkolny był udział, że powstały zaległości, że trzeba się poprawiać, że trzeba przeczytać ileś tam lektur, że nie nauczyło się iluś wierszy, że nastąpił regres w... itp., itd. Po wywiadówce umoralniającego mówom nie było końca, „smrodek dydaktyczny” – jak taki stan określał sam mistrz Wańkowiec – snuł się wokół całymi dniami, na szczęście na horyzoncie pojawiały się już święta i do nich wielkie przygotowania, no i oczywiście ten „Mikołaj”!

Za jakieś skromne oszczędności (to było już w czasach, gdy nie wierzyłem w dobrego Świętego) próbowałem zakupić prezenty dla mamy i taty. Prezenty w szkole między kolegami nie były modne, nikt ich nie wręczał, więc się nie kupowało. Chodząc godzinami po mieście, odwiedzając wszystkie siedem, a może dziewięć prywatnych galanteryjnych sklepików, we wszystkich były takie samo byleco, wreszcie któregoś tam dnia decydowałem się, dla mamy kupowałem (zawsze trzy – dlaczego trzy, do dziś jest dla mnie nierozwiązywalną zagadką) chusteczki do nosa, dla taty paczkę papierosów lub zyletek (raz nawet kupiłem jakiś tani szczyryk). Nie muszę wspominać, że rozpiarła mnie duma i nic a nic nie przeszkadzało, że chustek do nosa i noży nie wypada dawać w prezencie. Co ja dostawałem, już nie pamiętam, wiem, że były to prezenty skromne: książka, jakaś gra – „Chinczyk” lub loteryjka. Pocięsałem się tym, że wielu miało gorzej...

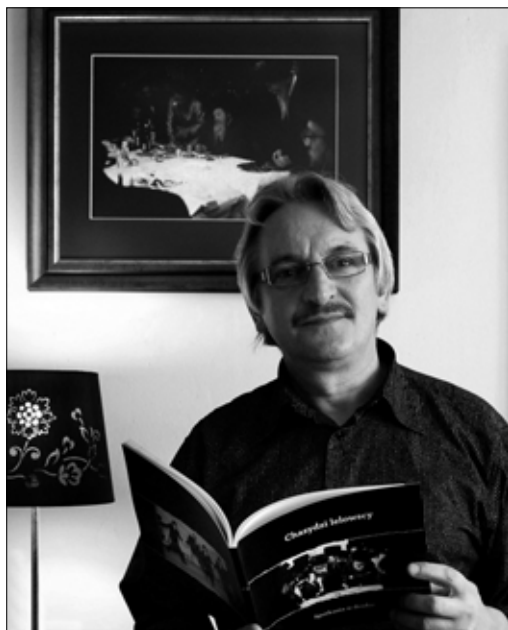
Zbislaw Janikowski

Chasydzi lelewscy

Album *Chasydzi lelewscy. Spotkania w drodze* jest próbą przybliżenia polskiemu czytelnikowi niezwykłego świata chasydów, który od połowy XVIII wieku, aż do II wojny światowej, był związany z terenami Rzeczypospolitej. Wraz z Holocaustem świat ten został zniszczony i dopiero po upadku komunizmu do grobów wybitnych cadyków (przywódców religijnych chasydyzmu) zaczęły przybywać pielgrzymki religijnych Żydów z całego świata. Chasydzi wierzą, że w rocznicę śmierci cadyka jego dusza zstępuje na ziemię i pomaga unosić się prośbom do nieba, a także zsyła łaski na modlących. Małe miejscowości, takie jak: Leżajsk, Lelów, Rymanów, zamieniają się podczas przyjazdu chasydów w magiczne miejsca, w których dawny świat ożywa na nowo, a głęboka i intensywna religijność rozświetla mrok prowincji. Niestety, mieszkańcy tych miejscowości niewiele wiedzą o niezwykłych gościach, tak mocno prze-

cież związanych z miejscami, do których przybywają. Autorzy albumu chcieli zmienić tę sytuację i dać szerokiemu odbiorcy przewodnik po chasydyzmie, szczególnie zaś po dziejach i współczesności lelewskiego chasydyzmu.

Publikacja *Chasydzi lelewscy. Spotkanie w drodze*, oprócz podstawowej wiedzy o żydowskiej religijności i chasydyzmie, zawiera także bardziej szczegółowe informacje o lelewskich cadykach, wzbogacone o unikalne i niepublikowane do tej pory w Polsce opowieści o cadykach i chasydach lelewskich. Czytelnik albumu, może zapoznać się m.in. z tłumaczeniami z języka hebrajskiego opowieściami o Dawidzie Lelewerze, zaczerpniętymi z podstawowego dzieła o jego życiu i działalności - *Migdal Dawida* (Wieża Dawida). Wartość publikacji podnosi zamieszczony w książce tekst rabina Simchy Krakowskiego, najbliższego współpracownika obecnego cadyka lelewskiego, Szymona Bidermana. Simcha Krakowski po raz pierwszy zdecydował się na przekazanie polskiemu czytelnikowi przesłania, dotyczącego chasydzkiego widzenia świętego miejsca, jakim jest dla nich Lelów. Wyjątkowej wartości książce dodają zdjęcia Leszka Piłichowskiego, znanego częstochowskiego fotografa, który przez kilka lat dokumentował chasydzkie przyjazdy do Lelowa. Dzięki tak pokaznemu zbiorowi fotografii udało się w albumie pokazać chasydów w różnych sytuacjach i z różnej perspektywy.



„Jurajskie Impresje 2008” *Lucji Szoty*
Kromki z jurajskiego chleba

Piotr Nita

Nie dajmy się zwieść pozorom, bo na manowce zwiódą. Znacznie głębiej dążyć należy, by sedno zamigotało. Kluczem może okazać się tytuł, jakże zwodniczy – jurajskie, czyli krakowsko- częstochowskie, czyli lokalne, czyli wapienne; impresje – czytaj: przelotne, czytaj: wrażenia, i ostatnia wolta - 2008 czyli ponowoczesność. Zwodzi, a nawet bałamuci nas ta książka.

Zupełnie gdzie indziej tkwi korzeniami ta dykcja. Choć budulcem dla tych utworów były zbierane na jurze powidoki, to sposób obrazowania, prowadzenia się języka pachnie zupełnie niceuropejsko - tu zen rozpylono, tu medytacja zamiast refleksji, nie zachodnie zintelektualizowanie, a kojące, harmonijne wyciszenie. Na dodatek utwory (przynajmniej w początkowej fazie) naśladują chronologią przebieg pór roku – nie odosobniony to ułkon w stronę przyrody.

Wśród jakich więc pejzaży się nas wiedzie? Widać, że ilustrowanie prowadzone jest nieprecyzyjnym narzędziem, ale czuć tu zamysł, bo takim właśnie narzędziem można wykonać ruch zamaszysty, kreować bez ukrywania emocji, na gorąco pisać, nie na zimno (oddajmy należny hołd parafrazie). Uwaga! W użyciu podstawowe kolory i okazjonalne uniki przed półcieniem.

Lecz nie bardziej mylnego, niż pomyśleć o tej książce jak o monolocie. Nie bez przyczyny autorka wydzieliła trzy osobne komory dla swoich utworów - w każdej bije inny rytm. Klarowność pierwszego płynącego pod dyktando kalendarza, kontrastuje z pozostałymi dwoma, które z mozaiki raczej zrodzone i z kalejdoskopu.

Właśnie spomiędzy owej mozaiki przemawia głos bardzo współczesny, bo takie też tematy trafiły do obróbki. Troska o świat doczesny objawia się w światowej perspektywie - troszkę telewizyjnej, bo z wojną w tle, tą wojną właśnie z ekranu, tą daleką i abstrakcyjną. Wylaniają się też przesiąknięte, aż po nasycenie lokalnym kolorytem, rysy religijne. Czasem zazgrzyta jakiś nazbyt społeczny akcent, który wyraźnie się w „Impresjach” nie mieści, lecz potraktowany jako świadome przełamanie smaku jurajskiej potrawy, broni się skutecznie.

Chciałoby się napisać, że przecięta pepowina, że rozdzieleni (u)twór i twórca, że uleciało ego, a pozostały obraz i że to właśnie miłe. Lecz w nadmiarze czasowników wyszło „ja” i zburzyło uroczony konstruowany nastrój. Zabrakło dosłownie pół kroku - pół kroku w tył od tekstu, a wystarczyłoby miejsca, by

móc z każdej strony obejrzeć te krople zastygłego czasu. Tropy wiodły po katalogu chwil, impresji właśnie, przelotnych jedności z wszelkim stworzeniem, momentów zapomnienia o sobie, o „ja”, lecz wyprzewadziły nas do świata z betonu. Pozostał charakter – to wciąż poezja intuicyjna, nie argumentacyjna, oszczędna i czytelna – budująca; podana w tonie pokory i spokoju, akceptacji, miejscami zaniepokojenia, lecz dystansującego się od strachu. Zamiast – miłe, powiem – krzepi.

Jak rozwinię się przygoda tego debiutu? Staranne wydanie „Impresji” podpowiada, że nic z pochopności w decyzji o druku nie było. To dobra wróżba, schrpana wraz z chińskim ciasteczkiem.

Lucja Szota

Powiało
 nawiało
 zawiąło
 zrobiło się biało
 całkiem biało
 świetliście i szkliście
 perłowo i kryształowo
 aż dech zaparło
 i mowę odjęło
 zimowo

Bożonarodzeniowo



Konkurs Literacki „Z Częstochową w tle” Komunikat jury

Jury konkursowe w składzie:
Marian Piotr Rawinis, Agnieszka Batorek, Ilona
Kownacka, Anna Woźnicka,
Piotr Nita,
po analizie prac nadesłanych na konkurs
postanowiło
przynależać

I Nagrodę

Katarzynie Sosnowskiej
VII LO im. M.Kopernika
za opowiadanie pt. „Spóźnienie”

oraz dwa **Wyróżnienia**, które otrzymali:

Kinga Jelonek
VII LO im. M.Kopernika
za opowiadanie
„Proste równanie o złym wyniku”

Olga Krzypkowska
I LO im. J. Słowackiego
za opowiadanie
„Bohaterka z przypadku”

Ponadto zainteresowanie jury wzbudziły teksty:

„Cobra kontra Pająk”
Emilii Kasperek
ZSZ im. gen. Wł. Andersa
 Liceum Profilowane

„Mój pamiętnik”
Lindy Kmieciak
IV LO im. H. Sienkiewicza

„Częstoch - pierwszy gospodarz Częstochowy”
Macieja Łączmański
VI LO im. J. Dąbrowskiego

Konkurs Literacki „Z Częstochową w tle” I Nagroda

Spóźnienie

Katarzyna Sosnowska

Łózko. Małutki materac w przytulnej wnęce oświetlonej skromną, energooszczędną żarówką. Wtulałam stopy w nieogrzaną jeszcze pościel. Zimno. Na samym środku poduszki spoczywa słoń wypełniony guzikami. Sto pięćdziesiąt sześć.

Małe, malutkie, najmniejsze, szarawe, tłamszone dużymi, błyszczącymi, wieczorowymi guzikami, dumnie strożącymi swoje pawie piórka. Plastikowe najczęściej. Starte do tego stopnia, że zatraciły już pierwotną barwę i desen, pęknięte, wyszczerbione, połamane i w nienaruszonym stanie. Standardowo okrągłe i oryginalnie ukształtowane. Od sukienek, spódnic, spodni, swetrów, bluz, bluzek, koszul, płaszczy, kurtek, może sutann nawet. Wykonane we wszystkich możliwych wariantach, sposobach i materiałach. Przedwojenna, unikatowa, sześcioguzikowa turkusowa kolekcja, uroczą pojedyncze, niepasujące do nikogo i niczego guziczki w kropki, znalezione na podłogach sklepów z ciuchami i jeden jedyny, ten pierwszy, związany jeszcze z błękitnym materiałem, jakby żywcem wycięty z eleganckiej koszuli. W istocie, to męska koszula.

Zapotrzebowanie na skrawki materiałów na robotki ręczne przywiodło mnie do jednej z obskurnych, częstochowskich bram, gdzie po jakichś dwudziestu minutach udało mi się odnaleźć napis „Krawcowa” na wysokości moich stóp. Zeszłam powoli po schodkach, zanurzając się w ciepłą, pachnącą ciepłym obiadem piwniczną przestrzeń. Kobieta w podeszłym wieku, prawdopodobnie właścicielka zakładu, z grymasem poirytowania na twarzy, wskazała mi wielki jutowy wór wypchany tkaniną. – „Tylko nie rękawy od koszul, bo mogą się przyszyć na przyszłość, doszyc potem można, a jak pocięte, to już tylko do wyrzucenia!” – mruzczała pod nosem, wyrwywając mi z rąk męskie mankiety. Nagle, między skotłowanymi resztkami ubrań, dojrzałam kilkumilimetrowy, perłowy guziczek, przyszyty do (o zgrozo!) rękawa dumnie prezentującej się, wyjściowej koszuli. Niewiele myśląc chwyciłam za nożyczki i szybkim, zbrodniczym ruchem odciąłem mój skarb razem z kawałkiem materiału. Nerwowym głosem szepnęłam „Dziękuję”, po czym rzuciłam się do wyjścia, zapominając oczywiście o skrawkach. To była moja pierwsza przestępstwa przygoda, a zarazem pierwszy guzik, jaki znalazłam w kolekcjonerskim stojaku.

Drugi zaś jest troszkę większy, bardziej kanciasty i radośnie czerwony. Znalazłam go tkwiącego w szparze między płytami chodnikowymi Druhej Alei pewnego marcowego ranka. Zawsze wyobrażałam sobie, że był

ozdobą małego, czerwonego płaszczu jakiejś kilkulatniej dziewczynki. Patrzę na jego wyszczerbione krawędzie i zastanawiam się, jak długo musiał leżeć wśród piasku i kamieni, nim zdążyłam go podnieść i otoczyć czułą opieką. Tak, mam do niego ogromny sentyment.

Nie przepadam za to za najbardziej, według mnie, kiczowatym guzikiem całego zbioru. Wydaje się wielki w zestawieniu z całą resztą. Patrząc na niego ma się wrażenie, że jest wykonany ze srebra, kiedy jednak chce się obejrzeć z bliska przedstawiony na nim motyw galleonu płynącego po pełnym morzu, w oczy rzucają się spoidła powstałe przy fabrycznym wytapianiu guzika, jego przedziwna lekkość i plastikowa natura. Bez wątplenia należał do zdziwaczałego starucha, a raczej jego granatowego gamituru zdobytego za grosze na małymmiasteczkowym rynku. Człowiek, który posunął się do zakupu czegoś takiego, musiał być konserwatystą, dewotem i nietolerancyjnym ksenofobem. Albo przynajmniej pozbawionym gustu starszym człowiekiem.

Za marynistycznym obrzydliwcem kryje się najpiękniejszy guzik świata. Jest idealny. Mogę na niego patrzeć godzinami. Jestem pewna, stuprocentowo pewna, że jest ręcznie wykonany z oryginalnej porcelany, a może nawet kości stoniowej. Z czegoś pięknego i cennego. Guzik ten jest wielkości paznokcia mojego serdecznego palca, ma precudowną, czystą, kremową barwę i nieskalany jest nawet najmniejszą rysą. W trzech miejscach znajdują się opływowe wgłębienia, jakby kształtowane delikatnymi, czułymi musznięciami kobiecej dłoni. Ma też nie byle jakie pochodzenie – jest prezentem od mojego największego guru, człowieka, który zapoznał mnie z Bogiem, życiem i mną samą. Do którego stóp padam przez wzgląd na codzienną mądrość i niesamowitą osobowość. Który pokazuje mi ścieżki. Jedną z nich prowadzi na Jasną Górę. Przez całe życie miejsce to kojarzyło mi się z kurczem, nudą, zapachem starego, ciemnego drewna konfesjonalów, długimi kazaniami, ociekającymi światłem barokowymi zdobieniami i cierpiącą twarzą Matki Chrystusa. Zamiast spokojnie wysłuchiwać mszy w ławce, biegałam po bazylice, wylazłam zakonnikom pod habity, plułam się w wodzie święconej i bawiłam zwisającymi ze ścian różańcami. W którąś środę tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego ścieżka mojego przewodnika zaprowadziła mnie właśnie tam, kazała przejść pięćset szesnaście stopni i zapytała, co czuję.

„Jakbym siedziała na czymś nadgarstku” – odpowiedziałam. Zsumuj wszystkie gliniane dzwoneczki, jakie dostałam od wiejskiej czarownicy z najlepszym sercem, chrobotanie ptasich pazurków na odwrocie poddasza, kłębki babcinych włóczek, oszlone ceramiczne koraliki, staromiejskie kamienice, kocie futra i furkoty, uśmiech bardzo starego człowieka, światło listopadowych witraży, porzeczkowe konfitury i dżemy malinowe, pieprzyki, fusy i esencje, zapach piżma, cynamonu, imbiru, kardamonu, bergamotki i zaspanej

poduszki, przemoczone babie lata, przypadkowy dytyk, klujące w szyję wełniane swetry, autonomiczne kleksy, jasnogórskie nadranne piaskowce właśnie, dodaj szesnaście gramów poczucia bezpieczeństwa i możesz być pewien, że otrzymasz Nadgarstek.

Lubię też idealnie okrągły, obciążony brązowym materiałem z motywem florystycznym, zabezpieczony metalową wstawką i nitem guzik. Przypomina mi dzień, w którym, kilka lat temu, wybierałam się na moją pierwszą w życiu imprezę. Co prawda okazją były urodziny najlepszej przyjaciółki, a na samym przyjęciu miały się pojawić tylko najbliższe koleżanki, ale kwestia ubioru stanowiła dla mnie palący problem. Do pół godziny przed planowanym wyjściem stałam przed swoją dziecięcą szafą, drąc się wniebogłosy: „Nie mam się w co ubrać! Nie mam się w co ubrać!” W ostatniej chwili wpadła moja superbohaterka, ciepły, kochany człowiek, potrafiący jak nikt znaleźć rozwiązanie wszystkich kłopotów i zmartwień, od najmniejszych do tych całkiem dużych, oddany całym sobą życiu swoich najbliższych, trzymając moją nową, śliczną, brązową sukienkę z motywem florystycznym, przewieszoną przez ramię. Każdy powinien mieć takiego opiekuna, dobrego ducha, prywatnego anioła stróża. Nie każdy na niego zasługuje.

I wreszcie na samym dnie zauważam niepozorny, fioletowy guzik. Niepodobny do innych. Stworzone z kawałka plastiku i skrawka wełny siedlisko najkliwszych wspomnień. Pamiętałam jedenastu bliźniaczych braci tego miękkiego detalu, szeregowo rozmieszczonych wzdłuż krawędzi babcinego swetra, który pachniał nią bardziej niż cokolwiek. Zawsze powtarzała, że znalezione na ulicy guziki powinny tam pozostać, bo przyniesione do domu stają się siedliskiem wszelkich czortów i innych nieszczeń. Przez kilka lat miałam nawet spore poczucie winy, ale sumienie uciuchło, kiedy po śmierci babci znalazłam w jej szafce przy łóżku metalową puszkę wypełnioną startymi, połamanymi lub tylko pękniętymi guzikami, z wyraźnymi śladami długiego bytowania w kałużach, szparach między płytami chodnikowymi, dziurach w krawężnikach i w wilgotnych stertach brązowiejących liści. Najwięcej cech genetycznie dziedziczy się po dziadkach.

Delikatnie dotykam palcem fioletowego guzika. Głaszczę wełnę, przytulałam się do niego, przytulałam się do babci. Łza za łzą ślizga się po policzku. Płaczę na znak protestu przeciw tak wielkiej niesprawiedliwości – zniknęła, nim zdążyłyśmy się lepiej poznać, kilka dni po moich ósmych urodzinach. I wieko się zatrzasnęło. Gniedząca się w piwnicy sroga krawcowa, która przyszyła sobie do zakładu oswojony guzik dziadkowej marynarki, tak dla żartu. Babunia, co przyniosła mi w prezencie wczesnowiosenny, czerwony płaszczyk, zasmucona faktem utraty guzika gdzieś po drodze. Najwyższa mentorka krzątająca się po domu w wyciągniętym fioletowym swetrze.

A teraz, w listopadzie, zostają po niej guziki.

WOREK CZĘSTOCHOWSKI nr 11

Le Vorecq Czenstochovien

pod redakcją Janusza Piernikarskiego i Jana T. Podźdama

NIE BĘDZIE KOLUBRYNY

W ostatnich latach, z potrzeby serca czy też w ramach rządowej polityki historycznej, filmowcy (a swoją drogą – dlaczego tylko im się chce?) mogą eksploatować te karty historii, których wcześniej nie było wolno, zwłaszcza dotyczące historii od wschodu. Do tego nurtu włączył się częstochowski scenarzysta Krzysztof Badźbuch, który właśnie pracuje nad prequelem „Potopu”. Film pod roboczym tytułem „Pożar” ma opowiadać o tym, co robił Andrzej Kmicic, zanim uwikłał się w konflikt polsko-szwedzki. Z nielicznych aluzji u Sienkiewicza wiemy, że przedtem wojował z Moskwicem; film pozwoli na dokładniejsze poznanie losów chorążego orszańskiego. Niestety, tym razem zabraknie obłędnia Jasnę Góry. Chyba, że scenarzysta pod wpływem apelów częstochowian wstawi do opowieści zabląkany zagon kozacki.

WYWIAD

z Pakosławem Wielbłądem, dyrektorem Teatru bez Imienia.

- Jaką koncepcję artystyczną ma teatr w nowym sezonie?

- W pierwszym rządzie chciałbym wystawić coś ambitnego, na przykład Becketta albo „Czarną pierzynę” Władimira Szuszałowa. Ale najpierw trzeba podliczyć zyski z poprzedniego sezonu. Jeżeli będą za niskie – bo przyznam, że „Grzyby z Yugoth” nie cieszyły się w Częstochowie takim powodzeniem, jak się spodziewałem – to zamiast ambitnej sztuki trzeba będzie wystawić farsę. Jeszcze lepsza byłaby lektura szkolna, ale cała rzecz w tym, żeby chodzili na nią uczniowie, a kanon tak się zmienia, że lektury są ryzykowne. Częstochowa to małe miasto i tłumów nie możemy się spodziewać. Aby wyposażyć się odpowiednio, np. kupić węgiel na zimę, powinniśmy mieć co najmniej cztery popularne spektakle, bo niestety latem, kiedy się nie pali w piecach, nie ma sezonu. Trzeba też przyciągnąć sponsorów, bo raz, że dają pieniądze bezpośrednio, a dwa, że mogą dać na reklamę. Z takimi środkami możemy już myśleć o zaangażowaniu lepszego aktorstwa.

- Dziękuję za rozmowę.

WKŁĘŚŁOŚCI U LEONARDA

Interesującą koncepcję rzeźbiarską przedstawił Sławomir Ciećwierz. W Pabogalerii „Mordownia Leonarda” pojawiły się mianowicie jego kontrzeźby. Początkowo nie mogliśmy zrozumieć, o co chodzi: w sali wystawowej znajdowało się kilka gipsowych szcześcianów i kul. Trzeba było dopiero zajrzeć do nich od dołu, aby się przekonać, że wewnątrz znajdują się postacie, przedmioty, zwierzęta i sceny zbiorowe, odwzorowane w sposób wkłęsły. Przypomina to prezentowanie formy odlewniczej zamiast samego odlewu. Sam Ciećwierz stwierdza, iż w dalszym planie myślowym jego rzeźby wykonane są z powietrza, którego granicę wyznacza gips. Pomysł iście rewolucyjny, ale sugerujemy rzeźbiarzowi, by stosował go w skali monumentalnej. Do większej kontrzeźby można przecież wejść i dokładnie obejrzeć wszystkie wkłęsłości, aby oćnić, co właściwie przedstawiają.

CO Z TĄ HŁASKĄ?

Choć bardzo się staramy, statystyczny Polak nie kojarzy z Częstochową żadnego twórcy. Muńka Staszczyka zaanektowała Warszawa, Jerzego Dudę-Gracza – Zawiercie, Jana Długosza – Kraków. Z drugiej strony chwalimy się muzeum Zdzisława Beksińskiego, który był przecież z Sanoka. Ostatnio pojawiła się koncepcja, abyśmy to my przywłaszczili sobie Marka Hłaskę, który przez jakiś czas mieszkał w Częstochowie. Planowane jest zatem utworzenie Muzeum Hłaski. Zaprzyjaźniony urzędnik z Wydziału Kultury zdradził nam, że dom pisarza zostanie zlokalizowany w rejonie ulicy Krakowskiej, gdzie dobrze zachował się klimat znany z jego opowiadań. Patronat nad przedsięwzięciem ma objąć Akademia Jacka Długosza, planująca akcję propagowania prawidłowej odmiany nazwiska pisarza.

TERAZ PORA JEŚĆ

Podobno, jak stwierdza Kazik, „artysta głodny jest o wiele bardziej płodny”. Jednak w hierarchii potrzeb Masłowa jedzenie zajmuje pozycję nieopórównanie wyższą niż potrzeby kulturalne; trzeba więc dbać o to, by nasi artyści mogli myśleć o tworzeniu, a nie o napełnianiu żołądka. Taką motywacją kieruje się Mirosław Krohwe, który na początku przyszłego roku zamierza otworzyć w Częstochowie stołówkę dla ludzi kultury. Zasadniczo ma to być jadłodajnia ogólnodostępna, co powinno sprzyjać promocji sztuki; artystom jednak oferuje się atrakcyjne zniżki. Warunkiem otrzymania zestawu obiadowego w cenie niższej (zupa i drugie danie do wyboru, deser, kompot) będzie przy wydawaniu posiłku okazanie własnego dzieła, np. książki, obrazu, płyty itp. Z niewiadomych powodów, przeciwnikami projektu p. Krohwego są rzeźbiarze.

SPOTKANIA NA PELENGOWEJ

Centrum Studiów Artystycznych „Neshoma” przy ul. Peleńgowej 15 proponuje kolejne zajęcia dla młodych artystów. 12 grudnia dr Erazm Oliveira Garbarczyk, specjalista od sztuki użytkowej z uniwersytetu w Coimbrze, poprowadzi warsztaty w dziedzinie wykonywania kafli ze scenami perwersyjnych prac rolnych; natomiast 28 stycznia Elżbieta Wołojad przeprowadzi zajęcia z akrobatyki dla modeli malarstwa nierealistycznego.

A MOŻE BY TAK SYMBIOZA?

W dzisiejszych czasach instytucje kultury mają problemy z pozyskaniem funduszy. Doświadczając tego, na przykład, Towarzystwo Zachęty. Obserwując jego zmagania „z szatanem i światem”, doszliśmy do wniosku, że problem Zachęty można rozwiązać w bardzo prosty sposób. Siedzibę Towarzystwa powinno się mianowicie przenieść na teren Huty Częstochowa. Już od paru sezonów modne jest wykorzystywanie przez środowiska twórcze zabudowań postindustrialnych. Huta w ostatnim okresie prosperuje, a jej ukraińscy właściciele już w przeszłości wykazywali się skłonnościami do mecenatu artystycznego. Dzięki takiemu rozwiązaniu Towarzystwo Zachęty otworzyłoby się bardziej na światowe trendy, a na Hucie Częstochowa spłynąłby splendor należny sponsorom prawdziwej sztuki. Jeśli zaś efekty takiego kroku okażą się poniżej oczekiwań, to można pójść dalej i zatrudnić członków Zachęty w hucie, co niewątpliwie stanie się źródłem regularnych przychodów dla tej placówki.

Zdzisław Sowiński

Ur. w 1947 r. w Izbiskach k/Częstochowy. Fotografik i filmowiec. Absolwent Wyższej Szkoły Filmowej, Teatralnej i Telewizyjnej w Łodzi (Wydział Operatorski i Realizacji Filmowej, dyplom 1974). Członek Grupy Formy Filmowej „Warsztat”, autor licznych prac fotograficznych i filmowych. Autor filmów dokumentalnych, m. in. tematycznie związanych z Jasną Górą. Od wielu lat szef redakcji częstochowskiej TVP.



